

Nr 2 (97)

CZASOPISMO LITERACKIE ♀

2024



ISSN 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIAJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKO POLSKIM



PEGAZ LUBUSKI





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 2 (97) 2024

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska

Druk: PRINT GROUP Sp. z o.o.

ul. Cukrowa 22

71-004 Szczecin

Na okładce i w numerze prezentujemy fotografie autorstwa Zbigniewa Sejwy oraz fotograficzną dokumentację jego twórczych działań

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

ODRODZENIE

Nawet Naturze nie przychodzi to z łatwością, mimo że naturalny cykl każe jej rytmicznie, w ustalonym porządku, bez końca rodzić się i umierać; umierać i odradzać się na nowo.

Mimo burz, mrozu, wichury, palącego słońca; mimo ognia, wody, ziemi i powietrza, Natura zbiera siły i zaczyna od początku.

Powstaje, co upadło.

Zielenieje, co uschło.

Życ zaczyna, co bez życia było. Długo. Za długo...

Bez nadziei będziemy beznadziejni. Więc mam nadzieję, że natura ludzka podlega tym samym prawom, co natura świata. Że odradzamy się cyklicznie. Silniejsi, jeśli tylko potraktujemy te nasze tragedie i „małe śmierci”, jako okazję do „nowo narodzenia”.

W tym numerze „Pegaza Lubuskiego” wiele jest nadziei i przykładów „nowo narodzeń”, odrodzeń i „z martwych powstań”. Jest też unieśmiertelnienie – bo tak rozumiem sztukę. Zbig Sejwa jest prawdziwym bohaterem numeru. Podobnie jak jego liczne działania twórcze, artystyczne i społeczne. Poszukiwał okrucichów pamięci, dowodów istnienia, śladów po przodkach. Dziś sam zostawia po sobie ŚLAD. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie. Mimo choroby żartował, śmiał się, chętnie słuchał opowieści znajomych i przyjaciół. Miał ten błysk w oku. Uśmiech w kąciку ust. – Wiesz? Ja jeszcze mam plany! – powiedział na pożegnanie...

Był ziarnem. Zasiał się w naszej pamięci.

Agnieszka Moskaluk

redaktorka naczelna Pegaza

ODPOWIEŹ NA PEWNE PYTANIE

Jerzy Alski

Jak zatem zacząć kolejny dzień życia

Jak zacząć życie kolejne

Było wczoraj

Czy było

Czym tylko w nie uposażony

Czy to zdarzenia

Czy wrażenia jedynie

Nawet jeśli zostawię odcisk dłoni w piasku

Albo nakreślę okrąg paznokciem na ścianie

Jak zacznę dzień następny

Kiedy one będą

Jak zacznę dzień następny

Kiedy one nie będą

Jest taka chwila i miejsce

Jakżeż ona jest nieprawdopodobna

Niczym garść złota rzucona na kartkę

Niczym chmura wchodząca przez otwarte okno

Nie można tego dostać

To musi się zdarzać

Jak zatem zacząć kolejny dzień życia

Czy było wczoraj czy tylko zjawilo

Pod zamkniętymi powiekami unosisz dłoń nad wazą

Trzymając delikatnie w palcach

Jedyną czereśnię



Fotografia na chodniku, akcja happeningowa, 1981 r.



Fotografia na chodniku, akcja happeningowa, 1981 r.

JAKIŚ TAM DZIEŃ...

Aneta Gizińska-Hwozydk

Jakiś tam dzień... Jakiś tam zwykły, jak każdy inny dzień. Taki dzień, kiedy doskonale wiadomo, że nic dobrego się nie przydarzy. Właściwie – że nic w ogóle się nie wydarzy. I jeszcze najgorszym był fakt trwania w najlepsze poranku. Zdecydowanie „po”, bo ranek dawno przestał istnieć w pośpiechu nerwowych przygotowań do wyjścia.

Perspektywa autobusu – przytłacza. Chociaż autobus również wpisuje się w poranną rutynę. Autobus – to przede wszystkim synonim wiecznego spieszania się. „O! Już jechał w tamtą stronę! Już trzeba się ubierać! Już trzeba wychodzić!”. „Już” zawsze wywoływało działania szybkie, czasami nieskoordynowane. Gdyby ktoś tylko i wyłącznie obserwował czynności człowieka, od razu wiedziałby, że ten działa właśnie na komendę „już!”. Behawioralne gesty i tylko gesty mają w sobie coś na kształt odruchów Pawłowa. Tyle że dzwoneczek zastąpiony został przez słowo „już!”. Ale odruchy są podobne.

Gdyby nawet uosobić autobus – reflektorom nadać rangę oczu, a lusterkom wmówić, że pełnią funkcję uszu. Gdyby drzwi upersonifikować do rąk – otwieranych i zamykanych, a z kół zrobić nogi – bo przecież gdzieś tam człowieka doprowadzają. Gdyby nawet... To i tak zawsze będzie on niedomyty, śmierdzący, chyba trochę niezdrowy – z wyciewami spalin i wlatującym przez wszystkie szpary chłodem. Z ciągle kapiącym czymś spod maski i spod cielska podwozia. Istota na wskroś niedoskonała. Na dodatek złośliwa – ilekroć człowiek się spieszy, on porusza się niestosownie wolno do okoliczności.

Problemem wnętrza jest jeszcze to, że wejść może każdy. Otwierające i zamykające się tapy drzwi przyjmą wszystkich. Człowiek odarty z samotności, pozbawiony indywidualizmu, towar, hurt – jedzie ze wszystkimi, ciągle tą samą trasą, przez lata, miesiące, dni, pory roku. Zmieniają się tylko reklamy na autobusach i, być może, kierowcy, ale na nich nikt nie zwraca uwagi. Kierowca bowiem też jest elementem tłumu i nawet gdy je drugie śniadanie w autobusie lub na pętli autobusowej rozmawia z żoną przez telefon komórkowy, to i tak towarzyszą mu wszyscy pasażerowie. Bo człowiek jadący autobusem przestaje być człowiekiem. Staje się pasażerem.

Dopiero przystanek docelowy – miasto – pozwala pasażerom rozpierzchnąć się na cztery strony ich codzienności. Chociaż do pierwszego przejścia dla pieszych i tak z nawyku idą tłumem.

I to był właśnie taki dzień. I taka właśnie poranna przyszłość: autobus powiezie pasażerów z przedmieścia do miasta.

Jak wszyscy, również ona miała swoje ulubione miejsce w autobusie. I tylko to „ulubione miejsce” nieco sakralizowało rzeczywistość autobusową, gdyż ulubione miejsce ma się także w kościele. Więc jeśli w autobusie miało się ulubione miejsce?

Jej ulubione było tuż za kierowcą, z jego prawej strony. Przednimi drzwiami zawsze wsiadało mniej ludzi, toteż drugie miejsce, obok, czasami pozostawało wolne aż do samego miasta. Poza tym stąd widać było drogę. Wiadomo wtedy, że się jedzie, a nie jest się przewożonym. Jakieś takie atawistyczne marzenie o szerokich przestrzeniach, o pędzie. No i brak tłumy. Zauważyła, że kierowcy też nie lubią, gdy ktoś stoi obok przednich drzwi.

A bywały takie dni w jej życiorysie złożonym z dni na ogół bardzo podobnych, kiedy zabijała spojrzeniem każdego, kto koło niej usiadł. Przednie siedzenie było powiernikiem nastroju, znawcą duszy. Zresztą nie lubiła również przedniego siedzenia, ale stanowiło optymalną wersję wydarzeń z tłumem w tle.

* * *

Jakiś tam dzień... Jakiś tam zwyczaj, jak każdy inny dzień.

Wsiadła do autobusu. Jej miejsce było wolne. Jak zwykle wpatrywała się w okno. Ale nie myślała o pięknie ukrytym za pochłapaną błotem szybą. Właściwie o niczym nie myślała. O takim spojrzeniu zwykło się mówić: bezmyślne spojrzenie. O niczym bowiem nie myśleć – to po prostu niemożliwe. Może trochę o życiu, o rutynie, o tym, że ciągle nic nowego. A może zwróciła uwagę na ciekawą krój płaszcza kogoś stojącego na przystanku? Może zastanawiała się nad tym, czego nie zdążyła zrobić. A może przemknęła jej przez myśl odwieczne pytanie – jak długo trwać TO jeszcze będzie i czy nie powinna być tak naprawdę szczęśliwa, że TO trwa, gdyż TO stanowi istotę jej życia, a więc żyje, jest zdrowa, nic złego jej się nie przydarza. Ale to była sekunda. Taka zaledwie jedna myśl – że rutyna też jest piękna – być może się pojawiła. Ale zbombardowały ją inne myśli – te o błocie na szybach i głośno pracującym silniku autobusowym.

– Dzień dobry pani!

Miarowo warkot silnika. To już czwarty przystanek.

– Dzień dobry, panie kierowco!

Kto to jest? Stoi tu gdzieś, niedaleko jej przedniego siedzenia, a przed chwilą wścibsko zaglądał do kabiny kierowcy.

– Dzień dobry pani! Mogę się przysiąść?

Dlaczego upatrzył sobie właśnie ją?! Przynajmniej dziesięć miejsc wolnych w całym autobusie! Czy on oszalał? Nawet nie wsiadł przednimi drzwiami. Musiał iść specjalnie na to miejsce przez cały autobus!

– A więc mogę, tak?

Przecież nic nie powiedziała! Powinien odczytać jej intencje. To było jedno z najgorszych spojrzeń, na jakie potrafiła się zdobyć.

– Ale pani się ładnie uśmiecha...

Kątem oka dostrzegła połę płaszcza. W brązowym kolorze – jak ziemia! I z wielką, okropną plamą na samym środku. Odruchowo schwyciła torebkę. Torebka to ostatnia deska prywatności.

– O, już cały jeden przystanek przejechaliśmy... Bo ja tam wsiadłem...

Wiedziała! Oczywiście, że już wiedziała! Tam wsiadają zawsze tacy dziwni ludzie. I obcy. Nikt ich nie zna. A wszyscy tacy podobni! Schronisko dla bezdomnych... Ale dlaczego ten jedzie właśnie tym autobusem?! Zawsze przecież jeżdżą później! Dlaczego dzisiaj? Dlaczego właśnie teraz?!

– ...Bo ja tam wsiadłem. I widzi pani, jak tu ludzie sobie ładnie mieszkają? Proszę zobaczyć. O, jaki śliczny żółty domek! A wiedziała pani, że bazie tam już były? Wiosna! No, proszę jeszcze raz się tak ładnie uśmiechnąć... Jak na początku...

Z politowaniem obróciła głowę w jego stronę. Niech wreszcie zauważy, że ona wcale, ale to wcale się nie uśmiecha! Starzec. Albo nie, wcale nie jest taki stary. Raczej zniszczony przez życie. Głębokie bruzdy na twarzy, popękana skóra na dłoniach, brudne paznokcie. I tylko oczy – jakby dużo młodsze.... Wielkie, niebieskie, śmiejące się oczy, w których kiedyś utopiło się niebo i nigdy już nie wróciło na wysokość, bo zamieszkało w człowieku. A on właśnie na to niebo wskazywał dłonią.

– O, proszę zobaczyć! Klucz ptaków! Słyszysz pani, jak śpiewają? Wiosna! Wiedziała pani kiedyś, jak budują gniazda? Potrafią tak cały dzień, wytrwale. I nawet deszcz im nie przeszkadza. Nic im nie przeszkadza. Lecą nad Wartę. Widzi pani? On był jak ptak... Zamilkł. Dziwna cisza w tym autobusie. Tylko warkot silnika. A raczej warczenie silnika na ten klucz dzikich ptaków. Ale i tak je usłyszała. Taki głośny, pełen radości śpiew tysiąca ptaków, które lecą, aby budować gniazda. Tak. Teraz usłyszała, jak przekrzykują warczenie silnika.

– A wie pani, zawsze się zastanawiam, skąd one wiedzą, którędy mają lecieć. I nie muszą pytać o drogę. Bo gdyby tak człowieka gdzieś tam zostawić w świecie, to nie wiadomo, czy wiedziałby, jak trafić do domu. O, o! Jaka piękna mgła unosi się nad wodą... O, widzi pani? To drzewo w tej mgle? Jest prawie takie jak człowiek. Pani też to widzi, prawda? Ta gałąź jest jak taka wielka łapa. A on taki zgarbiony. I podpira się łaską z gałęzi. A widzi pani, koło jego nogi idzie taki mały pies. Wychodzą z tej mgły. Ale nie trzeba się ich bać. Jak słońce na dobre wszędzie, przestaną być straszni. Będą po prostu drzewem.

I wiedziała – opary mgły unoszące się nad stawem. Dostrzegła nawet człowieka wyłaniającego się z owej mgły i idącego w stronę autobusu. I zaczęła mieć nadzieję na słońce, które wkrótce na dobre wszędzie.

– Proszę zobaczyć, jakie to siedzenie ma ciekawe wzorki! Takie małe ludziki na niebieskim tle. Siadamy na ludzicach. Nie odpuszczamy im. A one muszą dźwigać nasz ciężar. Jak to ładnie pomyślane w tych autobusach. Że tak człowiek do człowieka... Te ludziki na oparciach mają gorzej, bo są dalej od nas. Proszę spróbować. Przygniatamy je tylko plecami.

Patrzyła na małe ludziki na siedzeniach. Przygniatła je plecami i poczuła nagle dziwną więź z autobusem, z tymi wszystkimi ludźmi na tych wszystkich siedzeniach, o których już tylko myślała, że są ładni i że to wszystko jest tak ładnie pomyślane.

– Jak miło się z panią rozmawiało. To dobrze tak usiąść od rana koło drugiego człowieka. Ma się wtedy dobry nastrój przez cały dzień! Do widzenia, panie kierowco, miłego dnia!

Pozwoliłam, aby tłum pociągnął mnie do przejścia dla pieszych. Ale wyrwałam się spośród niedawnych pasażerów tego autobusu. Musiałam jeszcze coś zrobić... Stała na przystanku. W brudnym płaszczu, zgarbiony, z tymi swoimi wielkimi, uśmiechniętymi oczami pełnymi nieba. Właśnie zagadywał jakiegoś człowieka. Tamten odsuwał się zniesmaczony.

Podeszłam...

– Dziękuję panu...

Ucisnęłam jego chropowatą dłoń. I spokojnym krokiem, bez zwykłego, codziennego pośpiechu, podążyłam do swojego świata. Właśnie jakiś bezdomny pies walczył z ogromną kością. Śmiesznie trzęsły mu się uszy, kiedy ją obgryzał. Na wielkim niebie w centrum pojawił się klucz dzikich gęsi, które swoim gęganiem zagłuszały wszystkie silniki świata. Autobus – jamnik z fasonem podjechał do przystanku. Ludzie – mrówki wychodzili ze swoich mrowisk na mrówcze zmaganie się z codziennością. Świat nabierał swego, powszedniego tempa. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami.

A jeszcze wczoraj tego wszystkiego nie widziałam... Moje oczy stają się coraz bardziej niebieskie, kiedy obserwuję niebo zza zachlapanych błotem szyb autobusu. I czekam na nieoczekiwane „dzień dobry”. Każdego dnia...



Fotografia na chodniku, akcja happeningowa, 1981 r.

KRÓTKO BO TYLE TRWA WSZYSTKO

Joanna Ziemińska-Kurek

Uzasadnienie: Mam napisać wiersz o ODRODZENIU / nie wiem czy o wielkich ideach myślicieli nieżywych dzisiaj / czy o moim / powstaniu z martwych snów każdego ranka // nie śmiem zapytać pani redaktor którą znam / z mojego poprzedniego życia / która teraz dała mi zadanie do napisania.

1.

non omnis...

mówiłam uczniom: zapisujcie –
jedyne sposoby
bo z prochu w prochu
tyle z nas
a papier
i nabazgrane nawet
ale jednak
słowo
przeniesie
lekkich znikających
w bliżej nieokreślonej
nieśmiertelności.

2.

trans* logos (2024 r.)

„więc” umarło
razem z „ale”

teraz
„tak że”
jak kulawa noga
burzy rytm
nie tylko ortografii
„natomiast”
wali prosto w gębę

* 1. stan charakteryzujący się obniżoną świadomością; 2. pierwszy człon słów złożonych oznaczający: przez, poprzez, poza, za, z drugiej strony. (*Słownik języka polskiego*).

PRETEKSTY II**Z. Marek Piechocki****2. 1**

*jestem tu po raz pierwszy
choć przecież już tu byłem*

wtedy spadały liście
albo padał deszcz

mógł to być wspólny taniec

zaokienne przedstawienie
w ściegach zakrzywionej pamięci
bez programowania powrotu
w to samo miejsce

jak teraz

7. 2

*patrzę przez okno z pokoju
w którym kiedyś umarłem*

ważne pejzaże dzieciństwa
w akwarelach Mamy i Braci

złote ramy wspomnień

na parapecie brulion
pióro kałamarz

miały zapełniać kartki

nic nie zdążyłem

nawet zamknąć pokoju
i
okna

11. 3

wszystkiego nie da się zobaczyć

kalejdoskop
z odpustowego straganu

rajskie wyspy i ptaki
nieboskłonny z aniołami
egzotyczne rośliny
wiosny lato jesienie zimy

balon nad miastem
brat rozerwał kartonik
wysypały się szkietka lusterka

podróż w nieskończoność skończona

13. 4

*poprzednim razem byłem
w bardzo ładnym pokoju*

tamta podróż

inne pejzaże
góry urwiska gejzery fiordy
domek na wzgórzu
w dole zatoka
rybackie łodzie

zmęczone poorane wiatrem wodą twarze

ja w tym ładnym pokoju
z perspektywą dalszej podróży

na kliszy pamięci twarze rybaków

nie pokój

niepokój

19. 5

*dom w którym mieszkam
jest starszy niż myślałem*

kupił go dziadek Michał
po powrocie z powstania

od Niemca który wyjechał do swoich
w Niemczech

szachulec wypetniony gliną i sieczką
pomalowany wapnem czerwona dachówka
jak w Bawarii

lata roboty swoje
był coraz niższy
zapadał się w ziemię

nasz los

23. 6

*przeźrenie mojego domu
jest raczej nierozumna*

zagospodarowanie przestrzeni
przepierzeniami
łazienka na strychu
skośny dach nie pozwala stanąć

przy umywalce na kolanach
wodna konfesja

drabiny drabinki splątanie
miniaturowych korytarzy

przemieszczanie się najpierw w myślach
według zapisanego schematu

i tak błądzenie
jak ulicami obcego miasta

albo pośród odrębnych od siebie

normalnych
w żabotach szczęścia

29. 7

sieć rośnie
 jest coraz gęstsza
 lecz nawet nic
 nie daje się do niej
 złapać

czekanie na mitologię
 cud

niechże będzie to
 chociaż jedna ryba

ułomek chleba

chociaż jeden
 roztargniony wiersz
 bez puenty

celu

89. 9

iść w górę
 w dół
 czy może
 w poprzek

już kilkanaście lat wstecz
 poruszaliśmy temat kierunku
 z Poetą Leszkiem Ż.

doszliśmy do różnych wniosków
 ja uważałem że najlepiej iść przed siebie

Leszek że wtedy można nie zobaczyć wszystkiego
 pominąć ważne

fakt

staram się nie kluczyć
 zbaczać

niekiedy oszukuję



Okrucy pamięci, 1994 r.

113. 11

*...wyszedł z nich
wilk tak prawdziwy
jakby przed chwilą jeszcze
był gdzieś daleko...*

wilczy szaniec

wilk polarny

wbrew pozorom obok nas

stamtąd przychodzą
głodne mściwe zabójcze

jak rak

*Wilczy Szaniec – kwatery Adolfa Hitlera

*Wilk polarny – kolonia karna nr 3 w Rosji

67.

...stąd depresje i chęć ucieczki

*nagminna i niezrozumiała
ponieważ każdy i tak wraca tam
skąd chciał uciec...*

to prawda

kiedyś napisałem:
nie mam z kim rozmawiać
sekret niepowiedzianych słów został we mnie
i gdzie indziej:
niekiedy śnię że mogę fruwać
wtedy podziwiają mnie nawet ci
którzy nie zauważali że jestem

filozof Cezary szuka w labiryncie klatek schodowych
pokoi z zaokrąglanymi ścianami
ja w lasach

potem wracamy

59. 13*jestem**po cichu**myślę dyskretnie*ujawniam się szuraniem liści
zapisywaniem myśli i czynówniekiedy wychylam się
podaję wiersze do czytania

dyskretność ujawniona

131. 14*jak fraktale**pączkują tam**nieme wyrazy*nie wiem czy Benedykt Mandelbrot
zgodziłby się z Tobą

ja tak

rzadko kiedy istnieję naprawdę
raczej egzystuję pomiędzy piętrami

gdzieś w pobliżu

z ułożonymi do rozmowy ustami
niepowiedzianą myślą*ale trzeba z tym żyć*

Relikwiarz, 1998 r.



Relikwiarz, 1998r.

127. 14

*najdłuższy korytarz
zaczyna się wewnątrz*

więc najpierw jest wrzenie
szukanie

albo nieszczęście
trwoga

rzadko dobry przypadek

w piramidzie Cheopsa odkryto
kanały korytarze
może wentylacyjne
więc miał oddychać albo
ujść nimi duszą do swoich bogów

widocznie znał ich topografię

my nie

dlatego nieobce nam i zachłystywanie
i głęboki oddech satysfakcji

odnajdywanie końca korytarza

złapanie tchu na jego zakratowanym końcu

109. 15

*do opuszczonej sali kasyna
na sto trzynastym piętrze
chciał wystać list mój nieprzyjaciel*

więc nie w to miejsce gdzie byłem

sto trzynaste nie było dla mnie

incipit *mój przyjacielu* nie odpowiadał prawdzie
nawet nie znaliśmy się bliżej

jego złośliwość była przystowiowa

*o trzeci dyrektor filharmonii
mały człowiek to i mały samochód*

to o mnie do mnie

nie byłem nawet pracownikiem
i lubiłem niewielkie pojazdy

teraz ma pokój na siódmym piętrze
oddziału onkologii i moje wybaczam

103. 16

*w opuszczonej sali kasyna
na sto trzynastym piętrze
proza miesza się z liryką*

wysoko musieli się wdrapać
(windy już nie działały)
pisarze i poeci

szurali zmęczonymi butami
wenę mając za żetony szczęścia

ta

na sto dwunastym odfrunęła oknem

zostali sami

bezbронni



Negative

104. 17

*w opuszczonej sali kasyna
na sto trzynastym piętrze
nie ma co komu wytłumaczyć*

kiedyś
stoły z zielonym sukmem
rzegotanie kulek

teraz
w ciszy pajęczyn
pustce
tym co nie przyszli
deklamuję wiersz pt. *Nicość*

gwar rozmów nikt nie słucha

nad sto trzynastym strych
dach

gasnące gwiazdy zrozumienia

97. 18

*w opuszczonej sali kasyna
na sto trzynastym piętrze
stary poeta gra w ruletkę*

i co chwilę traci sens
rozbiegają się wątki

wypisał się
wypalił

i żadne splendory na niego
za budowanie sensów znaczeń

wygrane cyfry nie dla niego

już nie opuści sto trzynastego piętra
zostanie

ze swoją rozpaczą

* Motta pochodzą z wierszy Cezarego Sikorskiego z tomu *Hotel Mariański*

ZŁOŚĆ (BÓG MORDU)

Mariusz Sobkowiak

Zaczęło się po śmierci żony. Aleks zauważył, że ludzie go denerwują. Z jowialnego grubaska w ciągu miesiąca stał się wybuchowym cholerykiem. Początkowo zaskoczyło go, że na zwykłe z pozoru wydarzenia reaguje złością. Przypisywał to stresującej sytuacji. Jakby nie było, śmierć żony, w stosunkowo młodym wieku, to nie kaszka z mleczkiem. Dni jednak mijały, a to, co zaczęło się Incydem Na Stypie nie znikło, tylko roso, jak rak jego żony. Incydent Na Stypie, jak oficjalnie nazwali to przybyli żałośnicy, trwało jakieś pół minuty. Zaczęło się od kondolencji składanych Aleksowi przez kierownika Mariana Grubera, czyli jego szefa, a skończyło, gdy stary Marian leżał na podłodze, przy schodach, w garniturze przesiąkniętym ponczem, i krzyczał, aby Aleks przestał go bić. Gdybyś znał, drogi czytelniku, naszego świeżo upieczonego wdowca, wiedziałbyś, że nikt nie spodziewałby się po tym gołąbku pokoju takiego zachowania. W dzień pogrzebu, gdy bliżsi i dalsi znajomi Aleksa (głównie dalsi) i bliżsi i dalsi znajomi jego żony (głównie bliżsi) stawili się w jego domu, by optakiwać zmarłą, on sam zaszył się w kącie za schodami, gdzie, siedząc na obitym bordowym materjałem krzesła, czekał, aż wszyscy sobie pójdą, w międzyczasie przyjmując „szczerze wyrazy współczucia”, najszczerze „bardzo mi przykro” i wzruszające „była cudowną kobietą”. W tym właśnie miejscu i w takim stanie odnalazł go stary Marian, czy też raczej Pan Gruber. Przyjmując wyprostowaną postawę człowieka nawykłego do wydawania poleceń, a nie ich przyjmowania, szef Aleksa poczekał, aż ten wstanie z krzesła, po czym mocno ścisnął mu dłoń i z wyrazem prawdziwego smutku powiedział kilka słów o zmarłej, a następnie zasugerował, aby Aleks wziął sobie tyle wolnego, ile potrzebuje. Brzmiało to mniej więcej tak: *Aleks, weź sobie kilka tygodni wolnego, czy tam ile potrzebujesz. Poczekamy, aż wydobrzejesz. O pracę się teraz nie martw, projektem Augustyn zajmie się Lisa, damy sobie radę bez Ciebie.* Przynajmniej taką wersję Gruber przedstawiał znajomym. We wspomnieniach Aleksa wyglądało to zgoła odmiennie. Jego szef, w wypolerowanych skórzanych bucikach, pewnie z Włoch, zapinanych na pedalskie klamry, kto to widział, naniósł błota na dopiero co odkurzony dywan. Okazując wszem i wobec swoją władcą postawę, dawał Aleksowi do zrozumienia, że ten jest nikim. W tym dniu, w którym to jego ból powinien być w centrum uwagi, w którym to on jest najważniejszy, ten nadziany staruch zawłaszczzył sobie uwagę wszystkich. Na widok jego cholernych butów Aleks poczuł, jak robi mu się gorąco. Machinalnie ucisnął rękę szefa, nie zwracając uwagi na jego bełkotliwy potok słów o współczuciu i żalu. Pamięta jeszcze, jak Marian Gruber, po piętnastu latach jego pracy, mówi mu, żeby wziął sobie wolne, bo dadzą radę bez niego. Nie potrzebują go, do cholery! Największy od lat projekt

osiedla mieszkaniowego w Gorzowie przejmie ta harpia Lidia, a jego samego czeka zapewne zielona trawka. Taka bezczelność na pogrzebie jego żony! Po tym wszystkim na twarzy starucha pojawił się uśmiech. Kutafon szczyrzył się od ucha do ucha i to dosłownie tak, że Aleks nie podejrzewał nawet, iż można tak rozszerzyć usta. Ukazał przy tym komplet sztucznych, ostrych jak brzytwa zębów z porcelitu czy innego drogiego szajsu, na jaki Aleksa nigdy nie będzie stać. Zamarł w tym nienaturalnym uśmiechu, jawnie szydząc ze swojego pracownika i wyglądając jak rasowy pudel, gotowy do tego, by odgryźć nogę. Trzymając dłoń Grubera, Aleks poczuł, jak robi mu się gorąco. Fala nieznośnego ciepła wyszła z okolic karku i rozlała się na przedramiona. Ścisnął mocniej dłoń starego Mariana, aż strzeliły mu kości w stawach. Gdy ten zaczął się krzywić i kulić, próbując uwolnić dłoń, Aleks miażdżył mu rękę i nie puszczał, aż jego szef nie znalazł się na kolanach. Do dziś nie wie, skąd wziął tyle siły. Nie pamięta też, jak wziął z komody plastikowy kubek z ponczem i wylał go na głowę szefa. A już na pewno nie przypomina sobie, jakoby kopat go, gdy ten leżał na podłodze, tak długo, aż nie powstrzymali go inni goście.

O dziwo, ten cokolwiek zaskakujący Incydent Na Stypie nie doczekał się znaczących reperkusji. Aleks zgodnie z sugestią szefa wziął wolne, a czas oddalenia przysłużył się napiętej atmosferze. Dziwny wybryk złożono na karb chwilowej niepoczytalności wywołanej stresującą sytuacją pogrzebu, zwłaszcza że do tego momentu Aleks nie wykazywał żadnych oznak agresji. Znajomi (ci dalsi, bo innych nie posiadał) i koledzy z pracy dziwili się wręcz jego wiecznemu spokojowi i zakładali, że musi dusić w sobie negatywne emocje, co tym bardziej tłumaczyłoby wybuch. Czas mijał, a on wracał do swojego pierwotnego stanu spokoju, pogodzenia z życiem i akceptacji tego, co przynosi los. Po miesiącu uznał, że czas wrócić do, jako tako, normalnego życia i, gdy czytasz te słowa, siedzi właśnie w autobusie pędzącym na osiedle Manhattan, do małego biura, gdzie pracownicy średniego szczebla, tacy jak on, opracowują koncepcje architektoniczne i plany zagospodarowania przestrzennego. Spójrz, drogi czytelniku, ten grubasek na małym niebieskim siedzisku, otoczony współpasażerami, ale zdający się ich nie zauważać, bo zatopił się w lekturze, to właśnie Aleks. W autobusie panuje upał, jak to w sierpniu i Aleks czuje strużki potu spływające mu po plecach. W lniaanej marynarce, błękitnej odprasowanej koszuli i eleganckich półbutach nie wygląda wcale, jakby brakowało mu kobiecej ręki. Bardzo stara się tak nie wyglądać. W pewnym momencie szarpnięcie pojazdu sprawia, że książka wylatuje Aleksowi z rąk i ląduje pod siedzeniem pasażerki naprzeciwko. Siedząc wśród tłumu, pewnie nie dostrzegasz niczego niezwykłego, drogi czytelniku, a drobny incydent z książką nie zaprzęta twojej uwagi. Jesteś zajęty własnymi myślami i wachlujesz się dzisiejszą gazetą, marząc o zimnej coli. Jeśli jednak, drobnym wysiłkiem woli, przeniesiesz swój punkt widzenia do głowy naszego nieszczęsnego wdowca, sytuacja będzie wyglądać zgoła odmiennie. Wszyscy pasażerowie

nagle przerywają swoje czynności i patrzą na ciebie. Czujesz, jak ich wzrok przeszływa cię na wylot i zatrzymuje się na dole karku. Z tego miejsca rozchodzi się po ciebie nieprzyjemne gorąco, a wszystko nabiera czerwonej barwy. Każdy z pasażerów, od biznesmenów w garniturach, przez kury domowe śpieszące na warzywny targ, aż po oseska w dziecięcym wózku przywdziewa ten ohydny uśmiech, rozciągnięty od jednego ucha do drugiego. Uśmiech jest tak szeroki, że przecina ich twarze na pół i aż dziw bierze, że głowy nie rozpadają się, gdy kąciki ich ust zakrzywiają się ostro ku górze. Każdy z tych uśmiechów szydzi z ciebie, mówi, że nie jesteś potrzebny. Kilkumiesięczne niemowlę, śliniąc się, patrzy na ciebie z tym przerażającym uśmiechem, myśląc *co za obleśny grubas, spocony jak świnia, nie potrafi nawet utrzymać książki przez swoje zwały tłuszczu, nic dziwnego, że żona nie chciała mieć z tobą dzieci*. Gospodyni domowa z siatką zakupów i twarzą przepoławioną półksiężycem ust przekazuje ci wprost do twojej głowy *twoja żona nie umarła na raka, zabiła się, bo nie chciała z tobą być, rak był tylko wymówką*. Wszyscy pasażerowie, patrząc wprost na ciebie z szyderczym uśmiechem, kiwnęli głowami na znak porozumienia. Zostałeś wykluczony. Ładna młoda dziewczyna, na którą typnąłeś wzrokiem, wsiadając do tramwaju, patrzy teraz na ciebie z tym okropnym uśmiechem, który nie znika nawet na moment i zdaje się rozszerzać, gdy na niego patrzysz. Wzrokiem przekazuje ci, że *nie masz szans, już zawsze będziesz sam*. Zakrywasz twarz dłońmi, chowasz się w nich, ale ciągle słyszysz ich przeraźliwe myśli o tym, że nic nie znaczysz, że jeszcze tylko kilka dni. Kilka dni i znikniesz. W tym momencie coś w tobie pęka. Możesz zrobić tylko jedno, by ochronić siebie przed zniknięciem. Podrywasz się z siedzenia i chwytasz tę głupią, kłamliwą, szyderczą uśmiechniętą twarz pasażerki naprzeciwko i ze straszliwym rykiem, *ty głupia krowo!*, zaczynasz tłuc jej głową o szybę wagonu. Nikt nie przychodzi jej z pomocą, ludzie cofają się przerażeni. Strach jest oznaką szacunku. SZACUNKU, którego chcieli ci odmówić. Gdy dostałeś, czego chciałeś, wysiadasz z metra na najbliższym przystanku, zostawiając książkę tkwiącą pod siedzeniem okaleczonej kobiety. Nie docierasz do pracy.

Aleks siedzi teraz w swojej łazience. Kompletnie nagi, trzymający się za kolana, zwinięty w kłębek. Przez słuchawkę prysznicza pada na niego strumień zimnej wody. Dygocze. Jest przerażony tym, co zrobił. Zupełnie stracił kontrolę nad sobą, nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Z drugiej strony nie rozumiał zachowania ludzi w metrze, choć zaczął podejrzewać, że ma urojenia. Coś w rodzaju prześladowczej manii. Czyżby stracił rozum przez śmierć żony? Im dłużej myślał, tym bardziej ogarniało go to uczucie. Gorąco, dziwny ucisk, napięcie w ramionach przenoszące się na przedramiona i nogi. Czuję, jak do mięśni napływa krew, każąc działać, teraz, już! Przekręcił gałkę, sprawiając, że woda stała się lodowata, to pomogło. Na telefonie siedem połączeń. Oddzwonił do pracy, przeprasząc, i czuł wielkie poczucie winy, gdy prosił o jeszcze trochę wolnego. Bał się, że skoro

radzą sobie bez niego tyle czasu, to znaczy, że jest niepotrzebny. Wyobraził sobie, jak wchodzi do budynku, a kobieta w recepcji go nie poznaje, choć widywała go codziennie przez piętnaście lat. Ochroniarze usuwają go z budynku, a on nie opiera się zbytnio. Koledzy z pracy, kończący przerwę na papierosa, nawet nie podnoszą wzroku, by na niego spojrzeć. Po tylu latach. Nadal trzymając telefon w rękę, wybiera numer i naciska zieloną słuchawkę. Przez głowę przelatuje mu myśl, żeby się przyznać do tego, co zrobił w metrze. I tak go znajdują, tam był chyba monitoring. Nie jest przecież złym człowiekiem, został sprowokowany tą sytuacją. W słuchawce telefonu rozbrzmiał już trzeci sygnał. Nie okłamujmy się, nikt mu nie uwierzy, że roztrzaskał kobiecie głowę, żeby „nie zniknąć”. Biiip..., biiip... Sygnał w słuchawce ciągle przypominał, że próbuje się połączyć. Nawet jeśli się zgłosi, to i tak nic nie zmieni, nie pomoże tej kobiecie. Biiiiiip... W końcu uwierzył, że sytuacja z metra była tak nierealna, że jedyne, co może zrobić, to o niej zapomnieć, jakby nigdy się nie wydarzyła. Już miał się rozłączyć, gdy po drugiej stronie usłyszał damski głos:

– Małgorzata Witczak, w czym mogę pomóc?

– Eee... Dzień dobry, z tej strony Aleks Szulc, chodziłem kiedyś do pani, nie wiem, czy pani pamięta... Chciałbym umówić się na wizytę.

W poczekalni, z Alekssem, czekały jeszcze trzy osoby; kobieta w sile wieku, młoda dziewczyna z doczepionymi paznokciami i chudy chłopak w bluzie z kapturem naciągniętym na oczy. Z tej trójki, drogi czytelniku, jedna osoba powinna wydać ci się znajoma. Nie poznajesz? A pamiętasz tego chłopaka, który chodził wraz z tobą do klasy w szkole średniej? Tego, który niczym się nie wyróżniał, tak bardzo, że teraz masz problem z przypomnieniem sobie jego imienia? Owego „mieszkańca ostatniej ławki w klasie”, z którego żartowałeś, jak wszyscy, ale tylko, gdy nie słyszał, bo nie jesteś okrutny? Nie bez powodu siedzi tu dziś. Przypomnij sobie. Aleks próbuje czytać jedno z czasopism leżących na stoliku w poczekalni, ale z trudem przychodzi mu skupić myśli. Czuje irytację na obecność tych obcych ludzi. Pieprzone koszty współdzielone zmuszają go do siedzenia tutaj z nimi i czerpania wątpliwej przyjemności z udawanej lektury. Aby zmniejszyć stałe koszty administracyjne, jego terapeutka wynajmowała lokal wspólnie z kolegą, lekarzem psychiatrii i prawniczką. Efektem tej „sharing economy” była wspólna poczekalnia z gromadą nieznanym mu osób. Pewnie się okaże, że jako jedyny czeka do terapeuty. Cała reszta siedzi w kolejce do prawnika, aby załatwić sprawy związane ze spadkiem czy kradzieżą praw autorskich. Ważne sprawy normalnych ludzi. Tylko on „ma coś z głową” i oni dobrze o tym wiedzą. Świr Aleks. Zaraz zobaczy ich kpiące uśmiechy, gdy tylko Małgorzata otworzy drzwi do gabinetu i zaprosi go do środka. Matki będą pokazywać go swoim dzieciom, ostrzegając przed „takimi”, ktoś powie o tym jego współpracownikom, a szef zaprosi go siebie i – nie patrząc w oczy – powie mu, że

nie można projektować budynków i rozwalać głów kobietom w metrze. Albo jedno, albo drugie. Jego matka, której nie widział od dawna, zadzwoni, by powiedzieć mu, jak bardzo ją zawiódł. Jak zawiódł wszystkich. W jego rodzinnej wiosce stanie się złą legendą, „czarnym ludem”. A potem wszyscy o nim zapomną. Nie będzie nawet godzien, by być członkiem ludzkiej wspólnoty. *Bo nie jesteś, głos w głowie Aleksa był głosem chłopaka w kapturze, tego, z którym, drogi czytelniku, chodziłeś do szkoły. Człowiek się nie rodzi, człowiekiem trzeba się stać*, Aleks wyobraził sobie, jak pod kapturem rozciąga się uśmiech, niczym paszcza rekina. *Jesteś bezproduktywny, niepotrzebny. Nie pracujesz, nie masz przyjaciół, żony, dzieci. Twoja stara matka nie chce i nie potrzebuje z tobą rozmawiać. Siedzisz tutaj, bo musisz komuś zapłacić, żeby postuchał, co masz do powiedzenia*, tym razem był to głos kobiety w średnim wieku. *Żalotne*, młodej dziewczynie nawet szkoda było słów. Aleks podniósł głowę znad gazety, by zapytać ich, czemu mówią takie rzeczy, ale gdy zobaczył ich uśmiechy rozciągnięte na twarzy, w nienaturalny sposób, jak woskowe maski, poczuł, jak jego krew zaczyna wrzeć. Znajome uczucie rozniosło się z karku na przedramiona. W tym momencie wszyscy troje, zarówno chudy chłopak, jak i młoda dziewczyna i kobieta, która mogłaby być jego matką, opuścili głowy, nadal się uśmiechając. Tego było za wiele, nie chcieli nawet na niego patrzeć! Tym jednym gestem unieważnili jego życie, sprawili, że przestał mieć znaczenie i zniknął. Musi im pokazać, że istnieje. Znał na to sposób. Zerwał się z krzesła i – mrucząc przez zaciśnięte zęby: *pieprzona dziwka* – podszedł do starszej kobiety. Nie da się tak traktować. Może jednym ruchem dłoni skrócić jej pomarszczony kark.

– Witaj, Aleks! Przepraszam, że musiałeś czekać.

Głos Małgorzaty Witczak zatrzymał go stojącego nad krzesłem kobiety. Ta patrzyła na niego bez słowa. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, a potem odwrócił się na pięcie i pomaszzerował do gabinetu. Nim zamknął za sobą drzwi, wydawało mu się, że zobaczył szeroki uśmiech pod kapturem chłopaka.

– Ludzie mnie nie szanują.

– Skąd pomysł, że ludzie cię nie szanują?

Gabinet był prosty, bez zbędnych bibelotów, ze ścianami w kolorze błękitu. Oboje siedzieli na miękkich fotelach, a na stoliku między nimi leżało pudełko chusteczek i szklana kula, w której zamknięty był zamek. Gdy potrząsnęto się kulą, w środku prószył śnieg. Kula stanowiła jedyny czysto ozdobny element w pokoju.

– Mam wrażenie, że wszyscy szydą ze mnie, gdzie nie spojrzę, widzę te uśmiechy...

– Wszyscy? Kto z ciebie szydzi i jak to robi?

– Ludzie w autobusie, w poczekalni, mój szef, po pogrzebie mojej żony.

– Nie wiedziałam, że zmarła. Naprawdę mi przykro, Aleks. Musiałeś to mocno przeżyć. Kiedy to było?

- Miesiąc temu. Tak, to było ciężkie – wziął do ręki szklaną kulę i lekko nią potrząsnął. Śnieżny puch zawirował w powietrzu i posypał się na zamek.
- Wiesz, myślę, że jej śmierć zmienia wszystko. Jej przyjaciele byli moimi. Poza pracą miałem tylko ją. Teraz nie mam nic. Muszę pomyśleć... Jestem taki zmęczony – Aleks potarł oczy wolną ręką, w drugiej ściskając kulę.
- Musi być ci ciężko.
- Cholera... Ona nadawała znaczenie mojemu życiu. Gdy odeszła, zacząłem znikać. W pracy obejmą się beze mnie. Nikt nie dzwoni, by się spotkać i pogadać. Obcy ludzie śmieją się ze mnie, a dziś miałem wrażenie, że celowo zaczynają mnie ignorować. Wydaje się, że gdy wyjdę z tego gabinetu, rozptynę się i zniknę. Istniejemy tylko, gdy inni nas widzą, prawda pani Witczak? – Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że kobieta się uśmiecha. Jej uśmiech wykrzywia się i powiększa, aż zaczyna zajmować prawie całą twarz. Giną jej oczy i nos, a jedyne, co pozostaje, to ten rekini uśmiech. *Tak myślisz?* Usłyszał jej głos w swojej głowie. Zdawał się nie wyptywać z jej gardła i szeroko otwartych ust.
- Tak, tak czuję. Gdy pomyślę o tym, co oni o mnie myślą, co mi robią, jak próbują mnie zniszczyć, mam ochotę ich pozabijać. Czuję płomień, który wybucha we mnie jak tysiące słońc, jak lawa na słońcu, stają się chodzącą Hiroszimą, pieprzonym bogiem mordy. Czuję, jak w miejscu, gdzie szyja przechodzi w ramiona, pojawia się niewielki irytujący ucisk, a potem gorąco rozlewa się od karku, po autostradzie kręgosłupa, do ramion i nóg. Zaciskam zęby. W moim ciele jest nagle za dużo krwi. Ona wrze. Mogłaby wylać się przez moje uszy – Aleks mocniej ścisnął szklaną kulę, stopy oparł mocno o podłogę.
- Dalej, czytelniku. Wiesz, że chcesz tego. Chcesz, żeby ją zabił, prawda? Zrób to. Czujesz ucisk na ramiona? Nadmiar krwi w rękach i nogach, ciepło rozlewające się po ciele, aż zaczyna parzyć? Czujesz szklaną kulę, którą ściskasz w prawej dłoni, tak mocno, aż bieleją ci palce? Czujesz twardość podłogi pod stopami, zaciśnięte zęby? Popatrz na twarz kobiety przed tobą, wykrzywioną w uśmiechu, jak sztydzi z ciebie, z twojej nieporadności, z najbardziej intymnych szczegółów twojego życia. *Nie jesteś ważny, mówi. Nie liczysz się i w końcu znikniesz. Tak samo jak twoja żona, z tym, że nikt nie przyjdzie na twój pogrzeb.* Ściśnij mocno szklaną kulę, czytelniku. Wiesz, co się teraz stanie. Jednak możesz to powstrzymać. Ta kobieta może przeżyć, nie musisz jej zabijać. Wystarczy, że przerwiesz, przestaniesz czytać w tym momencie, weźmiesz te kartki i wyrzucisz albo najlepiej wrzucisz je w ogień, aby nigdy nie kusito cię, by poznać zakończenie i by nikt go nie poznał. Zrobisz to? Naprawdę cię kocham, czytelniku, i chcę ochronić przed tym, co się stanie. Proszę. Widzę, że się uśmiechasz. Nie wierzysz mi. Uwierz, to nie jest opowiadanie. To czyjeś życie, w które wkroczyłeś ze swojego świata. Przez sam fakt czytania stworzyłeś ten świat, tchnąłeś życie w tych ludzi, gdy przeczytałeś

pierwsze zdanie, gdy zobaczyłeś ich oczami wyobraźni i gdy chłopakowi w kapturze dałeś rysy swojego szkolnego kolegi. Powołałeś ich do istnienia. Wypełniłeś ten świat postaciami, których ja nie znam. Ty dałeś im twarze, pozwoliłeś zaistnieć. Jak mogłeś...? Tchnąłeś w nich życie, by im je odebrać. By dać upust swojej złości, by wylać swój gniew, jak bóg mordy, bo w swoim świecie, poza tą kartką papieru, nie możesz nikogo zabić. Możesz to zrobić tylko tutaj. Władza, którą w tej chwili posiadasz, zawładnęła tobą. Siedzącej kilkanaście centymetrów od ciebie Małgorzacie Witczak nadaj rysy osoby, której nienawidzisz najbardziej, która cię skrzywdziła, wywołała wstyd. Poczuj gniew, złość, poczuj, jak się rozlewa, jak ogień zaczyna trawić cię od środka, poczuj krew w żyłach, w rękach i nogach, jest jej za dużo, i ten ucisk na ramiona, który doprowadza cię do szału. Zobacz jej uśmiech, sięgający dokładnie od jednego ucha do drugiego. Widzę, jak ściskasz kulę i, będąc tutaj, w innym czasie i innym miejscu, nie mogę zrobić nic, by cię powstrzymać. Przeczytałeś to, prawda?

Godzinę później prawniczka z gabinetu obok, która dzieli z Małgorzatą koszty najmu, energii i ogrzewania, zaniepokojona kolejką, jaka tworzy się pod gabinetem terapeutki, wchodzi do środka i znajduje ciebie siedzącego w fotelu w całkowitym stuporze i ciało pani Witczak leżące na podłodze gabinetu. Wokół jej głowy zdążyła utworzyć się spora kałuża krwi. Twarz jest zmiażdżona, jakby ktoś chciał zetrzeć jej rysy. Gdy przyjedzie policja, ciebie już nie będzie, a Aleks powie im, że nie wie, co się stało, że rozmawiał z terapeutką, a chwilę potem poczuł, jakby ktoś inny, ktoś bardzo rozgniewany przejął jego ciało. Zawiozą go do szpitala, gdzie na zamkniętym oddziale będzie opowiadał o bogu mordy, który go opętał i który uczynił z niego bezwolne narzędzie. A wszystko zaczęło się miesiąc temu, tuż po śmierci żony.

Relikwiarz, 1998 r.



Karta leczenia szpitalnego

Pacjent: Aleks Szulc

Wiek: 46 lat

Stan cywilny: wdowiec

Rozpoznanie: guz nadnerczy

Opis: u pacjenta zdiagnozowano masy nowotworowe o wielkości 14 mm naciekające na lewe nadnercza. Powoduje to czasowe wydzielanie dużych ilości kortyzolu, hormonu stresu (nawet 240 ug/dl) i prawdopodobnie niepohamowane wybuchy agresji. Wielkość guza i szybkość jego powiększania się świadczą o tym, że nowotwór rozwijał się co najmniej od trzech, czterech lat. Pacjent w wyniku dokonanych czynów agresywnych doznał schizoidalnego pobudzenia i utrzymuje, że za jego czyny odpowiedzialny jest ktoś inny, osoba spoza naszego świata, która przejmowała jego ciało.

Rokowanie: Rozwój nowotworu i związane z nim wyrzuty kortyzolu mogą doprowadzić do pełnowymiarowej choroby Cushinga w okresie 2-3 lat. Nie widać szans na remisję pod wpływem naswietleń.

Leczenie: chemioterapia, leki supresyjne, psychoterapia z elementami kontroli gniewu.

Podpisano:

Kierownik oddziału
Specjalista chorób wewnętrznych
Dr Mariusz Sobkowiak

Od autora: Opowiadanie powstało w ramach jednej z sesji terapeutycznych prowadzonych w Gorzowie Wielkopolskim w 2020 r., w ramach której analizowaliśmy uczucie złości, a zadaniem uczestników (w tym autora) było zobrazować stan niepohamowanego gniewu jako uczucia, które wywołuje lęk i przerażenie. Motyw przerażającego uśmiechu może przywoływać czytelnikom na myśl amerykański film grozy „Uśmiechnij się” (*Smile*) z 2022 r. w reżyserii Parkera Finna, ale opowiadanie powstało kilka lat przed premierą filmu.



Relikwiarz, 1998 r.

Aneta Długońska

odrodzenie

wyprostuję myśli na seledynowej łące
ogrzewanej wczesną wiosną
zroszonej dreszczykiem
pobielę zęby zażółcone
od poranków z depresyjną kawą
wzniosę na nowo swój ką
wsparty na dwóch ścianach nośnych
jedna to było za mało

wyzwolenie

z siedliska błędów
kryjówek kolorowych grzechów
wypęta z kolorem zieleni
po drodze gubi strach
biegnie z wysoko uniesionym
uśmiechem seledynowym
sztandarem nadziei

jeszcze dzisiaj

mam kompleksy
schowam je do kieszeni
dziurawej
pójdę na spacer
by zgubić

repetitio

świat to nieskończona
burza piękna
wybucha raz po raz
chwyta za gardła
przydusza
aż nie zadławimy się
na chwilę
łapczywie łąpiemy
oddech
i znowu patrzymy

z popiołów

ponowne odrodzenie trwa
po kolejnej traumie
zbiera komórki w całość
do głowy pakuje aforyzmy
by z czasem zastąpiły
złe wspomnienia
przesiewa obrazy
kolorowe są lepsze
od czarno-białych
do serca
przenika wiosna

początek wiosny

zieleniata
nieśmiało przebijała się
jak nigdy wybujata
mało kto patrzył
czasami
ktoś rzucił okiem

TRYPTYK FOTOGRAFICZNY

Beata Igielska

na twoich zdjęciach
kobiety

uśmiechają się
prężą ciała
rozczesują włosy
jedzą owoce morza

zawsze
w tym samym miejscu

krajobraz
ich ostatniej drogi
nie zmienia się

nie ma mnie
w tym albumie

nie ucieknę
zapiszę mnie
w kadrze

jesteś
fotografem mojej duszy

kiedyś
bałam się
że mi ją skradniesz
i sprzedasz

ale ty ją
tworzysz



Okruchy pamięci, 1994 r.



Relikwiarz, 1998 r.

CELA

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Każdy dzień w zakładzie wyglądał tak samo i nic nie zapowiadało jakiegokolwiek poprawy. Nie wiem, co było gorsze: brak wolności połączony z całodobową walką z towarzystwem z celi, czy świadomość, że to nigdy się nie zmieni, że zostaniemy tu na zawsze, walcząc każdego dnia o rzucane nam kęsy chleba, niedogotowaną kapustę, o wodę, poszturchując się i wrzeszcząc na siebie bez wyraźnego powodu. Chociaż nie – powód był. Niespersonalizowany i jednocześnie niezmienny: nienawidzę. Nienawidzę wszystkich razem i każdego z osobna, nie pasuję tu – do tego stada bydła, do tego brudu, głodu, strachu i beznadziei. Może gdybym znalazł wśród moich towarzyszy choć jednego osobnika, którego darzyłbym większą nienawiścią, byłoby lepiej. Okładalibyśmy się co jakiś czas po ryjach i pewnie czuli niewielką ulgę. Ale tak nie było. Nienawidziłem wszystkich tak samo. Nienawidziłem tego miejsca, tego smrodu i... strachu. Bo każda noc okupiona była bezsennością i myśleniem o tym, czy mnie nie zdeptają, nie uduszą, nie wysmarują fekaliami. Coraz rzadziej uciekałem do wspomnień, choć początkowo to one były moją największą pociechą. Bunt i krzyk, że moje życie należy do innego świata, słyszałem tylko ja i moi współtowarzysze niedoli. Nikt nie mógł odpowiedzieć na moje błagania, bo nikt z zewnątrz dotąd się ze mną nie skontaktował.

Na wolności została żona i czwórka dzieci, piękny dom z zawsze suto zastawionym stołem, basen i korty w ogrodzie, dobrze prosperująca firma transportowo-budowlana, kilka kopalni i konto, które wydawało się uśmiechać do mnie, ilekroć sprawdzałem jego stan:

- Znów ci przybyło, Tymek!
- Mało...

Za każdym razem odpowiadałem w ten sposób, choć przecież mało nie było. Żyłem jak w puchu, jak w raj, jak pan na włościach. Nic mnie nie obchodziło, bo wszystkich miałem w kieszeni. A ostatnio udało mi się nawet schować do niej grubą rybą z ochrony środowiska, bo jakieś skargi były, że śmieci do lasu wozimy, że zużyte oleje wylewamy za magazynami. Ludzie to się zawsze przycepią i doniosą, choć wdzięczni być powinni. Dawałem pracę całej okolicy, a jednak słyszałem najczęściej, że jestem gnojem, świnia i najgorszym z możliwych chamem. Nie ubolewałem nad tymi opiniami z jednego prostego powodu: miałem je gdzieś. To, co myśleli o mnie inni, miałem tak głęboko, że głębiej się nie da. Moje życie było wspaniałe i tylko to się liczyło. Kłopoty zaczęły się w dniu, gdy zaginał mój ojciec, a krótko po nim mój brat.

Nie były to jakieś wielkie problemy, w końcu takie rzeczy się zdarzają. Tato już był stary, mógł zapomnieć, gdzie mieszka, a brat... Cóż. Brat był, delikatnie

mówiąc, idiotą, i chyba spodziewałem się, że tak skończy. Któregoś wieczoru, gdy świętowaliśmy zmiążdżenie kolejnej konkurencji, zwyczajnie nie wrócił do domu po libacji. Jego żona zawiadomiła policję, szukali, pytali, przy okazji i za ojcem obiecali się rozejrzeć, jednak nic z tego nie wynikło. Obaj przepadli jak kamień w wodę. W domu jednak zagościł strach. Ewelina wynajęła kilku ochroniarzy, którzy mieli pilnować dzieci, a mnie codziennie psuła humor słowami: „Zobaczysz. Ty też się doigrasz”.

– Też?! A skąd pewność, że ojcu i bratu ktoś zrobił krzywdę? Może po prostu chcieli wyjechać, odciąć się na chwilę od świata, zabalować na Hawajach bez ciągnięcia ze sobą ogonów?

– My też dla ciebie jesteśmy „ogonami”?

Nie odpowiedziałem. Wiadomo, że nie byli, ale nie chcieli mi się wchodzić w dyskusję, zwłaszcza z kimś, kto jest na niższym, w każdym tego słowa znaczeniu, poziomie.

– Nie histeryzuj. Za dzień, dwa wszystko się wyjaśni.

Ani ojciec, ani brat wciąż nie dawali jednak oznak życia, ale pojawiły się pogłoski – że ktoś widział ich, gdy razem wchodzili do jakiegoś samochodu w towarzystwie obcych osób wyglądających jak bandyci, że podobno brat ma kochankę i schował się u niej na czas dokonania wyboru między nią a żoną i podjęcia decyzji, że wylecieli z kraju i tym podobne. Nawet mnie ta wybujała ludzka wyobraźnia bawiła.

Potem jednak zaczęły pojawiać się dziwne listy. To nie były pogrożki, ale ich wydźwięk podnosił włosy na karku: „Jak ci z tym, że jesteś świnią?”, „Nikt po tobie nie zaptacze, gnoju”, „Tata i brat serdecznie pozdrawiają z miejsca, do którego i ty pewnie trafisz”. To jedno „pewnie” dyskwalifikowało list jako groźbę, choć dla mnie tak to zabrzmiało. To właśnie po tym liście postanowiłem działać na własną rękę. Wynająłem prywatną agencję detektywistyczną, przelałem im honorarium, a potem... Potem obudziłem się tutaj szturchnięty kopniakiem i oblany zawartością wiadra z jakąś brudną mazią. Waliłem w drzwi i dartem się jak opętany, by mnie wypuścili, że chcę z kimś porozmawiać, że zaptacę, ile zechcą, ale nie dawało to żadnych rezultatów, jakby nikt mnie nie rozumiał.

Znalazłem się w więzieniu z gromadą osób w różnym wieku. Wszyscy byli zaniedbani i śmierdzący, agresywni i pazerni. Z nikim nie dało się porozmawiać, by wyjaśnić mi, gdzie się znalazłem i za co. Nikt nie odpowiedział mi na pytanie, kiedy stąd wyjdę. Słyszałem tylko wielogłosowy krzyk, żebym się zamknął. Zamykałem się więc i czekałem, co przyniesie kolejny dzień. Nie przynosił jednak niczego nowego. Permanentne przerażenie, gniew, rozpacz i bezsilność nie pozwalały skupić myśli na czymkolwiek innym jak przetrwanie. Ja jednak myślałem czasem także o wolności i o wygodach, które straciłem. W wyobraźni tworzyłem torty z szynki, baleronu i schabu ze śliwką, robiłem sałatki z łososia, pstrąga

i wędzonego węgorka, a na deser serwowałem sobie lody z boczku. Prawda była taka, że wszystkim nam głód skręcał kiszki.

Niedawno odkryłem pewną prawidłowość. Ci, którzy w ramach buntu nie jedli, znikali. To zawsze działo się w jakimś zamieszaniu. Wpadało kilka osób i wywlekało nieszczęśników za ręce i nogi z celi, choć ci protestowali bardzo głośno. Myślałem, że może do lekarza, może wróć, ale oni nie wracali. Istniały dwa rozwiązania: albo skończyło się to dla nich dobrze, albo źle. Nie byłem gotowy na to ryzyko.

Moje miejsce do spania znajdowało się w najdalszym kącie celi. Miałem stąd najdłuższą drogę do koryta, nie zawsze wystarczało dla mnie jedzenia, ale miałem z tego miejsca delikatny podmuch świeżego powietrza, w rogu bowiem ściana była pęknięta, i nocą, gdy w celi gościła żarówka umieszczona za specjalną, zadrukowaną osłonką, widać było kawałek światła. Widok oświetlonego lampami podwórza wywoływał we mnie tak ogromną tęsknotę, że skręcało mi wewnątrz. Czasem podjechał jakiś samochód, czasem widziałem rozmawiających ze sobą ludzi, ale nie mogłem w żaden sposób usłyszeć, o czym mówią. Krzychałem wtedy do tej szpary tak długo, póki kopniaki pozostałych nie przywołały mnie do porządku.

Którejś nocy zatrzymał się pod budynkiem wóz większych rozmiarów i podbiegło do niego kilku strażników uzbrojonych w grube łagi i paralizatory. Mężczyźni weszli do środka, a po chwili zobaczyłem, jak z samochodu wybiegają przerażeni ludzie okładani pałkami po plecach. W ostatniej postaci rozpoznałem brata.

– Norbert! Norbert!

Nie przejmowałem się tym, że dostaję po łbie, nie czułem bólu uderzeń i wykręcania mi uszu. Dartem się dalej.

– Uciekaj! Uciekaj i wezwij pomoc!

Jeden ze współtowarzyszy zainteresował się szparą w ścianie. Odsunął mnie brutalnie i chciwie patrzył na rozgrywające się na podwórzu sceny.

– Nowych dowieźli. Czyli kilku z nas wyjdzie.

– Jak to „wyjdzie”? Skąd wiesz?

Zmierzył mnie tylko pogardliwym spojrzeniem i poszedł na swoje miejsce. Wyrzatem na zewnątrz. Nie było już samochodu i ludzi, których przywieziono, jednak nie usnąłem do samego rana. Dopiero tuż przed świtem zapadłem w głęboki sen przepętniony marzeniami i tęsknotą za wolnością, za drzewami, za zapachem kwiatów i za czystym powietrzem. Na śniadanie się nie zatapałem, obiadu nie mogłem przetrknąć, a wieczorem wpadło kilku ochroniarzy i wyciągnęło mnie z celi.

Zaraz po panicznym strachu pojawiła się nadzieja. Może stąd wyjdę? Może wypuszczą mnie z tego dziwnego miejsca, do którego trafiłem z nieznanego powodu, i w którym traktowano mnie jak zwierzę? Może uda mi się z kimś porozmawiać, może zobaczę się z bratem? Na razie jednak prowadzono mnie w półmroku

długim korytarzem. Na moje pytania nikt nie odpowiadał, jakby strażnicy byli głusi. Kiedy stanąłem, chcąc wymusić ich zainteresowanie sobą, poczułem na sobie but jednego z nich. Już nic nie mówiłem. Szedłem potulnie. Ten korytarz musi dokąś prowadzić, musi mieć swój koniec.

Zza załomu drogi ujrząłem jaśniejsze światło i domyśliłem się, że prowadzą mnie do innego pomieszczenia, ale przeczucie podpowiadało mi, że nie czeka mnie tam wybawienie. Czuję coraz wyraźniejszy swąd spalenizny pomieszany z zapachem krwi. Chciałem zawrócić, pobiec natychmiast w odwrotnym kierunku, mężczyźni jednak zastąpili mi drogę.

– Do światła idziemy! Do światła!

Kiedy przestąpiłem próg jasnego pomieszczenia, zamurowało mnie. Wzdłuż ścian, nad metalową rynną, do której kapłała krew, wisiaty świńskie tusze, rozkrojone pośrodku, wybebeszone z wnętrzości, ogolone i opalone z krótkiej sierści.

– Co tu się...?

Chciałem spojrzeć strażnikowi w twarz, ale nie mogłem. Nagle moje oczy znajdowały się na wysokości jego ud, a ja nie potrafiłem unieść głowy. Czuję, że moje własne uszy opadają mi na powieki, i że nie mogę podnieść rąk, by sobie pomóc.

– Co się dzieje? – próbowałem się odezwać, ale z gardła wydobył się tylko kwik. – Co mi zrobiliście?!

Spojrzałem na swoje nogi i coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałem. Moje kończyny były krótkie, różowe, porośnięte jasną szczecinią i zakończone kopytami. To musi być sen, jakiś koszmarny sen!

– Chcę się obudzić! Niech mnie ktoś szturchnie, niech mnie ktoś uszczypnie!
– Głośny kwik, który słyszałem od samego siebie, był nie do zniesienia.

Jak na zawołanie jeden z mężczyzn złapał mnie za uszy i wykręcił głowę tak mocno, że nic nie zostało z nadziei na to, że śnię. Drugi w tym czasie zakładał na siebie gumowy fartuch i uśmiechał się do mnie.

– Co wybierasz? Prąd czy siekiere?

Stanąłem bliżej siekiery. Może go to poruszy, może dostrzeże, że płaczę? A jeśli nie, to niech chociaż nie będzie mu łatwo. Niech zmęczy się zadawaniem mi ciosów, niech śni przez resztę życia o mojej śmierci i... I tym morderstwie, które miało się za chwilę dokonać.

– Służę uprzejmie. I nie przejmuj się, świnko. Może odrodzisz się kiedyś jako człowiek?

Jerzy Hajduga

O niebo wyżej

W drodze pukam do twoich drzwi. Ale to już nie te drzwi, nie to mieszkanie. Zresztą cieszyłaś się przeprowadzką, na tę okoliczność najzwyczajniej zamknęłaś oczy i już. Bez widoku na kolejny szpital, osób w białych kitlach i czarnych sutannach, aniołowie unieśli cię prosto do nieba. O niebo wyżej –

po tobie uczę się chodzić
w długiej koszuli

mam czas

nawet nocą
jak zdjęta

ze mnie

Z reszty wspomnień

(gdy życie się nie kończy, tylko zmienia)

ona i on w starej kawiarence przy kawie patrzą
na siebie z pierwszych spojrzeń i pocałunków
wspomnienia same rozmieniają się
na drobne

ona liczy grosze on
na dłuższy
wieczór

koniec

pierwszy a może
kolejny choćby
i dzisiaj



Zakaz fotografowania, 1986 r.

Janina Jurgowiak

RELACJA

Blisko mi do ciebie
Czasem na wyciągnięcie ręki
A czasem jak do Proxima Centauri
Ponad cztery lata świetlne

23. 03. 2024

ZIMNA WIOSNA

Zimno a przecież tarniny już dawno przekwitły
przez skłębioną zieleń nie dojrzysz wagonów
z zapyziałej stacji odjechały z krzykiem
który zamartw w oddali i nie wraca echem
Na chmurach zieleni otwiane niebo wspiera się bezradnie
siąpi leje i tłucze bezlitośnie deszczem
nie o takiej zimnej marzyliśmy wiosnie
mówisz mi
ja się zgadzam choć nie jesteś nawet awatarem
wkrótce pójdę za tobą
choć ociągam się nieco
proszę czekaj na mnie

17. 04. 2024

Przeżyliśmy razem tyle kalendarzy
zhardtiałeś przy mnie
myślałeś że wiesz lepiej i ważyłeś się
sam ruszyć w drogę bezpowrotną
To nie było w porządku
nie zostawia się niedokończoną
opowieści
i żony na drodze

17. 04. 2024

CIĄŻA

Zauważyłeś
jestem chimeryczna kapryśna niespokojna
przynaję jestem w ciąży
nowe życie rośnie we mnie pęcznieje kopie
to nie twoje dziecko
W wyniku zapatrzenia w chmury urodzi się
nowy wiersz
będzie podobny tylko do mnie

18. 04. 2024



Okrucy pamięci, 1994 r.

SMACZLIWKI

Olga Smolec-Kmoch

Rozdział 1

Stoję przed wejściem do magicznego ogrodu. W rękę nerwowo ściskam klucz do furtki, za którą czekać mnie może wszystko. Nie byłam tu, odkąd poszłam na studia i uciekałam z tej wsi. Nie, to nieprawda, nie uciekałam od wsi, uciekałam od ludzi. Prawdą jest za to to, co mówią – z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach. Z moją nawet tam średnio, bo ostatnie wspólne fotografie pochodzą z moich osiemnastych urodzin. I wcale nie wyglądamy na nich na szczęśliwych. Wyglądamy tak, jak wyglądało nasze życie, kiedy tu jeszcze mieszkałam.

Dlaczego więc twierdzę, że ogród za furtką jest magiczny? Bo przez wiele lat był. To tam znajdowałam schronienie przed krzykami, awanturami, oskarżeniami, niesprawiedliwością matki, a zdarzyło się, że i przed ciężką ręką ojca. Ale póki mała murowana altanka w końcu sadu miała swoją lokatorkę, i ja miałam w ogrodzie swój azyl. To tak pokrętna historia, że nawet dziś, kiedy mam już niemal trzydzieści lat, nie do końca rozumiem, co zaszło w mojej rodzinie i dlaczego babcia Marcysia mieszkała w altance zamiast w domu, który po wojnie zajęli z dziadkiem, i który był do śmierci jej. Dziś jest mój. Po wielu latach zawirowań spadkowych w końcu otrzymałam dokument, który to potwierdza. I dzięki któremu nie muszę się tym domem z nikim, kto na niego nie zasługuje, dzielić. Byłam to winna babci, dlatego walczyłam, choć nie raz chciałam odpuścić. Było trudno. Ta bitwa kosztowała mnie wiele, ale wiedziałam, że muszę... Nie, że chcę tu wrócić. Finansowo ten dom nie był mi niezbędny do życia, ale czułam, że jest niezbędny mojej duszy. I zdrowiu psychicznemu – przynajmniej tak twierdził mój psychoterapeuta. Chciałam w końcu uporać się ze sobą. I z tym, co robiła wciąż mojej duszy przeszłość.

Jest kwiecień, więc wejście do magicznego ogrodu nie wygląda okazale. W moim sercu panuje za to lipiec – gorący, pełen słońca, beztronski, a jednocześnie nieprzewidywalnie burzowy i ulewny, trzaskający piorunami nie tylko w wierzchołki najwyższych drzew, pod którymi często zaskoczeni warunkami atmosferycznymi ludzie potrafią się udać naiwnie w poszukiwaniu schronienia, ale także uderzający świetlistymi strzałami w samo serce.

W dłoni ściskam klucz tak mocno, że kłykcie są białe jak zrobione w Turcji zęby panien z Instagrama. I się boję, choć czekałam na ten moment kilka lat.

– Dasz radę! – mówię w końcu sama do siebie. Muszę... Nie, chcę to zrobić. Dla siebie, dla babci Marcysi, dla...

Wkładam klucz do dziurki w zamku furtki. Nie działa, klucz nie chce się przekręcić. Przeklinam szpetnie pod nosem, jednocześnie lewą ręką naciskając klamkę.
– Brawo, geniuszu! – krzyczę na siebie pełna złości.

Furtka nie była zamknięta.

Otwieram wejście na posesję mojego rodzinnego domu. Od niedawna także mojego oficjalnie, mam potwierdzenie w akcie notarialnym. Od werandy dzieli mnie jakieś czterdzieści metrów. Działka, na której stoi dom, jest naprawdę duża. Dlatego nie chciano mi domu – wbrew testamentowi babci – oddać. Rozumiem. Działka, dom, sad... Rzeczoznawca wycenił całość na naprawdę okazałą sumę, ale moja „rodzina” (tak, cudzysłów jest przy tej nazwie jak najbardziej wskazany!) nie potrafiła zrozumieć, że dla mnie nie było to ważne z przyczyn finansowych.

Choć w samym domu spotkało mnie niewiele dobrego, kiedy mieszkłam tu z rodzicami, to te krótkie przeżytki miłych momentów mam w głowie częściej. Człowiek to jednak dziwne stworzenie. Często wbrew faktom woli uchwycić się tej cienkiej, naiwnej nitki dobra. I trzymać ją tak mocno, że zaczyna się wrzynać w dłoń, raniąc ją do krwi. Tak trudno puścić się czasem tego, co ostatekiem naszych sił trzyma nas w przeszłości. Mówią, że lepiej odciąć się od przeszłości i zacząć żyć na nowo. Ale jak to zrobić, kiedy ta nitka pachnie ciastem drożdżowym i truskawkami, kiedy wyczuwasz na niej zapach starości pomieszanej z aromatem mydła lawendowego? Tym wszystkim pachniała babcia i jej ostatnim życzeniem było, aby ten dom trafił w moje ręce. Nie do jej syna i jego żony, czyli moich rodziców, ale do mnie. Najstarszej wnuczki, która kochała ją jak nikt. Wnuczki, która przy pierwszej lepszej okazji uciekła, zostawiając babcie samą...



DOM, 2007 r.

OGROMNA PIŁKA, BARDZO KOLOROWA

Jerzy Alski

Óslepiają cię miliardy srebrzystych eksplozji na granatowej, nieprzewidywalnej powierzchni morza. Kolor piasku wzrusza, parzy stopy, niepokoi. Mówisz do siebie, a po chwili płaczesz w euforii. Wiatr od wody przynosi smak też – twoich? – innych? – tych samych? Jesteś łąką, słońcem, wszystkimi gwiazdami i każdym ziarnkiem piasku, jesteś. Krzyczysz, a potem śpiewasz nieskończenie przekonany i szczęśliwy. Jeszcze nie wiesz, że to początek. Jeszcze wszystko przed tobą.

Spotykasz piłkę, ogromną i bardzo kolorową. Patrzysz zachwycony, czas staje w miejscu, a przed tobą mienia się tuki tęczy zwinięte w kulę. Dotykasz piłki. Podrucasz piłkę, a ona leci ku górze i leci, obraca się kolorami jak nadzwyczajny ptak ze świata, który śnił ci się dawno temu. Zapomniałeś ten sen i inne sny też zapomniałeś. Masz je teraz wszystkie nad sobą, szybujące z wolna w twoje wyciągnięte ręce. Przytulasz piłkę, toczysz ją i toczysz się z nią, obracasz się wokół, ponad i pomiędzy, a tęczowe tuki dotykają cię, otulają i otwierają przed tobą. Czy jest więcej szczęścia niż nieskończenie wiele szczęścia? Tak.

Piasek szarzeje, nadchodzą cynowe chmury, a kruszące się otwiane fale wytaczają pianę na brzeg, nawet nie wściekłą. Taką właśnie pianę i przypominasz sobie wtedy, skąd przybyłeś i dokąd pójdziesz. To koniec lata. Trzymasz przed sobą tęczę zwiniętą w kulę, a naokoło pada deszcz.

Wnosisz ukradkiem do domu ogromną kolorową piłkę, trochę zawstydzony, bo przecież sąsiedzi, dyrektor banku, pułkownik z naprzeciwka – co oni sobie pomyślą? Dorosły człowiek, stanowisko, a taki... brak odpowiedzialności, być może nawet gorzej – anarchizm. Rumienisz się nie wiadomo czemu i wpychasz piłkę do szafy. Rano zza koszuli w prążki wychyla się ku tobie świetlista kula i stajesz się nagle nieswój. Podnosisz słuchawkę telefonu, mówisz awaria samochodu, dwadzieścia minut, oczywiście, dla klienta kawa i pączki, proszę panno Iks i dziękuję. Bierzesz papier, taśmę, nożyczki. Czekasz. Chytkiem przekradasz się do piwnicy. Wychodząc, tłuczysz żarówkę. Po trzech dniach i butelce beaujolais na palcach schodzisz tam znowu. O drugiej w nocy. Oczywiście kartony toczą się ze złowieszczym łoskotem przez nieskończony moment, bo stłukłeś żarówkę, ale żadne drzwi nie otwierają się i umykasz jakoś tam szczęśliwy. Ogromną kolorową piłkę wpychasz pod łóżko. Nie zdejmujesz papieru, ale oddzierasz kawatek i patrzysz przez chwilę, smutną i piękną. Płaczesz. Po raz drugi, a pierwszy raz w tym życiu.

Wtulasz się którejś nocy w kolorowe meandry i śniesz sen, śniesz znowu wszystkie sny, jakie ci się kiedykolwiek śniły, i te, które nie śniły ci się nigdy,

i te, które śniły się innym, i dawniej, i te jeszcze niewyśnione. Rano jesteś trochę roztargniony, ale dostrzegasz zbolatą twarz sekretarki, zbolatą sekretarkę, zwalniasz ją do dentysty. Dam sobie radę bez pani, panno Agnieszko, mówisz i uśmiechasz się. Dzwonisz do mamy, na drugi koniec kontynentu. Wszystkiego najlepszego mamu – mówisz, Kocham cię i dziękuję, przecież sama wiesz. Tak, wiem, to było przedwczoraj, zbyt wiele pracy, urlop, do ciebie, tak. Przypominasz sobie, głosy są inne, twarze są inne, wspomnienia są inne, choć te same. Dzwonisz jeszcze raz, do kwiaciarni, i potem jeszcze raz, do kwiaciarni, mówisz nie, znajduję czas wybiorę sam.

Wracasz do domu wieczorem zmęczony i zakurzony całym dniem. Patrzysz długo w puste miejsce. Zamykasz oczy i widzisz ogromną pitkę, bardzo kolorową. Tak.



Ślady zwykłych ludzi, 1996 r.

ODRODZENIE?

Łucja Fice

Odłąd pamiętam, zawsze przyświecało mi pytanie: O co w tym życiu naprawdę chodzi? Jakie jest jego prawdziwe znaczenie? W procesie własnej transformacji, na przestrzeni lat zdobywałam wiedzę innych kultur, poznawałam inne religie, filozofie. Wszystkie wspaniałe skarby literatury były niezwykle ciekawe i potrzebne, ale oprócz wiedzy samej w sobie, niczego mnie nie nauczyły. To praktyka, doświadczenia, jakich doznałam w czasie drogi życia, obudziły moją duszę. Dla mnie takim przebudzeniem z letargu stała się długoletnia emigracja na Wyspy Brytyjskie i podjęcie pracy opiekunki w domu opieki. To z tamtej przestrzeni zaczęły nadchodzić odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, a przede wszystkim o sens mojego życia. Codziennie, obcując z cierpieniem podopiecznych w ich dniach ostatnich, ze śmiercią, która czyhała w zaułku każdego dnia, zaczęłam odkrywać własne wnętrze i odpowiadać sobie na pytanie: Kim jestem jako byt materialny? Do tamtej pory czułam się jak zamknięta we własnym umyśle. Praca z seniorami dawała mi narzędzia do duchowego odrodzenia. Pobyt w care home na Wyspach Brytyjskich był drogowskazem do własnego wnętrza. Od kiedy poznałam zdanie: *Nie jesteście tym, kim myślimy, że jesteście*, zaczęło się poszukiwanie PRAWDY. Stałam się wnikliwą obserwatorką samej siebie i wszystkich swoich poczynań i doszłam do wniosku, że ta ciężka, wyczerpująca psychicznie i fizycznie praca doprowadziła mnie do miejsca, w którym obecnie się znajduję. Zrozumiałam, że doskonaliłam się przez własne i cudze cierpienie. Zrozumiałam, że nie ma innej drogi. Pisarz Marcel Proust nigdy nie odniósłby sukcesu, gdyby jego droga była ustana różami. To jego niepowodzenia, bieda, brak akceptacji czy brak szczęścia w miłości zaprowadziły go na sam szczyt stawy, do znalezienia Boga w swoim sercu, do ODRODZENIA. Tak to już bywa. Dzisiaj nauka łączy się już z duchowością, potwierdzając praktycznie jednoznacznie istnienie tego SPIRITUS MUNDI, który zarządza naszym światem zewnętrznym i wewnętrznym. Nie ma w życiu nic przypadkowego i tak było ze mną. To utrata pracy, przypadkowe odkrycie oferty pracy opiekunki w angielskich domach opieki były tym boskim impulsem skierowania mnie na inną ścieżkę, bym mogła sobie sama odpowiedzieć na dręczące mnie pytania. To była ścieżka własnej duchowej transformacji. Im bardziej czułam w swym wnętrzu te wnioski, tym mocniej pragnęłam doświadczać odrodzenia mnie samej. Słynna, złota myśl: *Szarość jest kolorem teorii, zieleń natomiast kolorem drzewa życia*. Proces poszukiwania prawdy o swoim wnętrzu trwał u mnie stosunkowo długo. Któregoś dnia, dzięki prostemu olśnieniu (które w sumie wykluło się z mojego cierpienia), stawałam się sukcesywnie, dzień za dniem, coraz bardziej doświadczać, niż teoretyzująca.

W domu opieki to była taka nauka samopoznania. Sama z siebie przyszła nowa świeżość myślenia. Nie zbaczam z tej drogi, nadal pracuję jako opiekunka, nie z powodów egzystencjalnych, ale z chęci poznawania siebie samej. Powoduje to przede wszystkim świadomość celowości każdego mojego dnia. Tą skróconą historią mojej transformacji, odrodzenia ducha chcę pościć innym, jak można sobie radzić ze sobą, ze swoimi porażkami, problemami, kiedy żadna kolejna metoda, religia czy filozofia nie zadziałają. Wszystko samo wyłania się z cierpienia i jeśli tylko próbuje się zadawać pytania dlaczego tak, a nie inaczej się dzieje, to już dobra droga do tego DALEJ. PRAWDA jest tak PROSTA, że aż niemożliwa do odkrycia. To właśnie cierpienie najczęściej decyduje o rozpoczęciu jakiejś drogi, uruchomieniu jakiejś zmiany, stając się swoistym zbawieniem. Wszystko, co naprawdę dzieje się w naszym życiu, dzieje się w naszych sercach, bo umysł jest zniewolony. Kiedyś miałam sen, może nie sen, tylko COŚ na pograniczu jawy i snu, może czysta hipnagogia? W tym widzeniu, żywych jeszcze drgających serc w ozdobnej z witrażowego szkła szkatule, poczułam, jak przechodzę z umysłu do SERCA i wówczas wyłoniła się inna przestrzeń, w której poczułam, że jestem we właściwym miejscu. Było to w czasie, kiedy nigdzie nie było mi dobrze, nie czułam tej więzi z moim domem, a w zasadzie z żadnym miejscem. Za czymś tęskniłam, nie wiedząc za czym. Ta gonitwa za dobrami tego świata, to ciągłe „JESZCZE TO, JESZCZE TAMTO” nie dawało mi szczęścia. Dzisiaj jestem pogodzona z rzeczywistością i zawdzięczam to właśnie seniorom.



Homo Clonus, Kostrzyn, 2000 r.

HISTORIA JEDNEGO ZDJĘCIA

Adam Korzeniowski

Czasem zdarza się, że dopiero po zrobieniu zdjęcia dostrzegam w nim jakiś wcześniej niewidziany szczegół, „coś”, co sprawia, że zapisany obraz nabiera dodatkowego wymiaru. Zdjęcie, które dotąd niczym szczególnym nie przykuwało uwagi, niczym nie wyróżniało się z grona podobnych zdjęć, nagle uruchamia lawinę wspomnień i skojarzeń, stając się tym wyjątkowym.

Zdjęcie, które chcę opisać, powstało, gdy z przewodnikiem odjeżdżaliśmy z wioski plemienia Dassanech. Wioska leżała na samym południowo-zachodnim krańcu Etiopii. Z hotelu w Turmi wyjechaliśmy wcześniej rano. Kierowca poinformował mnie, że wioska leży gdzieś pomiędzy jeziorem Turkana a ujściem rzeki Omo. Jadąc tam, wyobrażałem sobie, że skoro jest jezioro i rzeka, to przed moimi oczami roztoczy się widok zielonych pastwisk pełnych zwierząt, łąk i uprawnych pól. Niestety, miejsce, do którego dotarliśmy, to była kraina kamieni i piachu. Pustynia, na której utrzymanie się przy życiu wymagało od żyjących tam istot heroicznego wysiłku. Jechaliśmy wiele godzin. Po drodze minęliśmy punkt graniczny w Omorate, a następnie przeprawiliśmy się tradycyjną łodzią wyciosaną z olbrzymiego pnia na drugi brzeg rzeki Omo. Potem, samochodem, który czekał na nas po drugiej stronie rzeki, z grupą zagranicznych turystów, ruszyliśmy po bezdrożach, by dotrzeć do wioski plemienia Dassanech. Zdjęcie, o którym chcę opowiedzieć, zrobiłem, gdy mieliśmy już opuścić wioskę i ruszyć w drogę powrotną. Gromada dzieci cisnęła się przy samochodzie, aby nas pożegnać. Kierowca ponaglał pasażerów, aby ci zajmowali miejsca w aucie, a ja wykorzystywałem ten czas, by robić ostatnie zdjęcia. Chciałem sfotografować jak najwięcej twarzy, uchwycić jak najwięcej szczegółów, które będę mógł później spokojnie i bez pośpiechu oglądać. Każde zdjęcie to nie tylko zarejestrowana chwila mojej podróży. To przecież także zapis najróżniejszych zjawisk, barw, stanów pogody, relacji międzyludzkich. Tego wszystkiego, co działo się w danej chwili, niezależnie ode mnie, a co zostało utrwalone w pamięci aparatu.

Moja podróż przez Etiopię już dawno dobiegła końca. Wróciłem do kraju z plecakiem wypełnionym kawą (bo Etiopia to ojczyzna kawy i dopiero tam tak naprawdę pociąłem ten napój), kilkoma pamiątkami będącymi wyrobami rękodzieła i aparatem fotograficznym, w którym miałem setki zdjęć. Podróż sprawiła, że zainteresowałem się trochę historią Etiopii. Wyczytałem, że 29 października 1930 roku Hajle Syllasje został Kawalerem Orderu Orła Białego, co nie przeszkadzało, by w 1937 roku, gdy Włochy pod przywództwem Mussoliniego okupowały Etiopię (a był to jedyny afrykański kraj, który nigdy nie był kolonią), polski rząd podpisał się pod propozycją, by Etiopię jako państwo skreślić z listy członków Ligi Narodów i zrobić to tylko po to,

by przypodobać się Mussoliniemu. Okupacja Etiopii skończyła się po czterech latach. Etiopczycy wypędzili Włochów ze swojego kraju. Bohaterem narodowym został Hajle Syllasje – młody król, pod którego przywództwem dokonano się zwycięstwo. Dla rastafarian, którzy przybyli do Etiopii z Jamajki, Hajle Syllasje z racji, że był w prostej linii potomkiem króla Salomona, był istotą boską. Natomiast dla osób postronnych, turystów zwiedzających królewskie komnaty pałacu w Addis Abebie, cesarz, jak na zajmowaną przez niego pozycję, zdawał się być skromnym człowiekiem stroniącym od zbytku.

Ale wróćmy do rozpoczętej historii. Przeglądałem kolejne zdjęcia, gdy nagle moją uwagę zatrzymało to jedno. Nie przypuszczałem, że uchwycony na nim pewien gest ręki tak przykuje moją uwagę, iż zapomnę o wszystkich zaplanowanych wcześniej pracach i obowiązkach po to tylko, by napisać te słowa. Co zastanawiające, zdjęcie, którego istnienia w pamięci aparatu wcześniej nawet nie podejrzewałem, uruchomiło całą lawinę wspomnień i skojarzeń. Przedstawiało ono gromadkę dzieci cisnącą się przy drzwiach samochodu. Jedno z nich zobaczyło leżącą na podłodze auta pustą plastikową butelkę po wodzie. Niewiele się zastanawiając, sięgnęło po nią. Ale tylko przez chwilę było w jej posiadaniu, gdyż kolejne dziecko wyrwało ją z rąk, a temu następne. Pusta plastikowa butelka, jakich tysiące wala się w naszym otoczeniu, tam, w wiosce leżącej na granicy z Kenią i Sudanem Południowym, stanowiła cenny przedmiot pożądania. Kierowca naszego samochodu krzyknął na dzieci. Chyba właśnie chwilę później musiałem utrwalić tę scenę. Na zdjęciu widać gromadkę ściśniętych i przestraszonych dzieci w różnym wieku. Chłopcy i dziewczynki, niektóre były całkiem nagie.

Prawie czterdzieści dni wędrowałem przez Etiopię i jednym z najrzadziej słyszanych dźwięków był płacz dziecka, chociaż dzieci były wszędzie. Nie wiem, czemu tak jest, ale dzieci w Etiopii nie płaczą. Są wulkanami energii i radości. Bywają ciekawskie, namolne, zaczepne, głośne, czasem agresywne, ale nie przypominam sobie, bym widział je zaptakane. Wielokrotnie obserwowałem, jak w towarzystwie obojga rodziców lub tylko matek skulone przez wiele godzin w jednej pozycji leżą na kolanach przewożących je osób. Jak przez wiele godzin, podróżując w ścisku, w zaduchu, nieznośnym upale, znoszą trudy podróży bez najmniejszej skargi. Widziałem, jak przenoszone przez wiele godzin na plecach w skwarze, deszczu, zimnie, towarzyszą swoim matkom w codziennych czynnościach. W całym tym bagażu wspomnień z trudem przypominam sobie chwile, w których słyszałem ich płacz. A tu nagle widzę na zdjęciu kilkadziesiąt dziecięcych twarzy i żadna z nich się nie uśmiecha. Żadne dziecko nie spogląda wesoło w kierunku obiektywu. Natomiast widzę, jak jedno z nich, to starsze, chroni głowę młodszego, zastaniając opiekuńczym gestem jego czoło. Inne, jak ze złożonymi do modlitwy dłońmi w napięciu granicznym z przerażeniem zastania usta. Pozostałe, skupione, zastuchane z otwartymi ustami, czekają na to, co się za chwilę wydarzy.

U dołu zdjęcia, w pierwszym rzędzie stoi dwóch chłopców. Ten po prawej jest starszy. To ten, który bez pozwolenia sięgnął po pustą butelkę. Nie patrzy na biały kobiecy palec wskazujący, który groźnie skierował się ku jego twarzy. Nie patrzy na ten palec, który go wyklucza, obraża, piętnuje, poniża. On patrzy trochę wyżej, nawet nie na zadbaną dłoń, z której wyrasta palec z wypielęgnowanym paznokciem. Nie patrzy na dłoń, która może połączyć z sobą palce i bezkarnie wymierzyć mu policzek lub zacisnąć się w jeszcze groźniejszą pięść. On patrzy trochę wyżej, patrzy prosto w oczy właścicielce palca i patrzy tak, jak może patrzeć ktoś, kto nie ma już nic do stracenia i chyba dlatego nie odczuwa już strachu. Obok niego stoi może czteroletni chłopczyk, możliwe, że jego braciszek. On też nie przestraszył się, nie cofnął. Stoi wyprostowany i patrzy równie śmiało w miejsce, gdzie powinny znajdować się oczy osoby, której twarz nie zmieściła się na zdjęciu. Zapewne sprawił to przypadek, że nie widać tej surowej, pouczającej twarzy, ale każdy może sobie tę twarz wyobrazić. I mógłbym w tym miejscu zakończyć opis tego zdjęcia, gdyby nie drobny szczegół, który dostrzegłem w górnym prawym rogu. To wyraz twarzy chłopca, który patrzył na mnie, gdy akurat robiłem to zdjęcie. Nie widziałem tego chłopca, nie zdawałem sobie nawet sprawy z jego istnienia, aż tu nagle, po miasacach, jakie minęły, dostrzegam go. Widzę jego oczy. Patrzą mi w twarz dokładnie tak, jak oczy dzieci, które widziałem na zdjęciach w albumie z warszawskiego getta, jak oczy na zdjęciach z obozu w Auschwitz. Ten chłopiec patrzy na mnie takimi oczami jak ci, których fotografowali, a potem mordowali Czerwoni Khmerzy w obozie S 21 utworzonym na terenie akademików w Phnom Penh. Pamiętam, że, widząc tę gromadkę przestraszonej dzieciarni, sięgnąłem po swoją butelkę z wodą i podałem ją najbliższemu stojącemu chłopcu. Nie dał jej sobie wyrwać z rąk. Kiedy samochód ruszył, gromada urwisów biegła obok niego, popisując się swoją szybkością i wytrwałością. Ten z butelką biegł na przedzie, wysyłając nam na pożegnanie swój pełen radości uśmiech.

Kilka dni później wróciłem do Arba Minch, a potem pojechałem do Hawassy. Nad przylegającym do tego miasta jednym z jezior rowu tektonicznego robiłem zdjęcia żyjącym tam ptakom. Jakież było moje zdziwienie, gdy na małym placu u zbiegu kilku uliczek, w kawiarence pod gołym niebem, zobaczyłem dwóch osobników ubranych w takie same koszule i mających na rękawach polskie emblematy. Na kieszonce umieszczonej na wysokości serca przeczytałem skrót PCPM. Jak dowiedziałem się chwilę później, byli to przedstawiciele Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Przykro mi, że nie mogę sobie przypomnieć imion spotkanych rodaków. Opowiadali mi o tym, co robią, jakie wykonują zadania, narażając się na trudy, choroby, a czasami ryzykując życiem. Kiedy powiedziałem, że jestem nauczycielem biologii, który realizuje swoje marzenie, odwiedzając kolebkę gatunku ludzkiego, miejsce narodzin swojej prapraprababci Lucy i przy okazji robię zdjęcia, od starszego z nich usłyszałem niesamowitą historię.

Była to jego szósta lub siódma misja w Etiopii. Wcześniej, gdzieś na pustynnym pograniczu z Somalią w czterystu szkołach on i jego koledzy zakładali baterie słoneczne. To była jedyna szansa, aby kiedykolwiek szkoły leżące na pustyni mogły korzystać z energii elektrycznej, a dla dzieci – by mogły po zapadnięciu zmroku odrobić lekcje czy przeczytać książkę. Kiedy z podziwem kiwałem głową, on nagle ni stąd, ni zowąd zapytał mnie, czy wiem, czemu dzieci, które nie mają tam plastikowej butelki, nie idą do szkoły? Zrobiłem wielkie oczy i powiedziałem, że nie mam pojęcia. Odpowiedź była boleśnie prosta. Jeśli małe dziecko ma iść w upale przez pustynię, a do najbliższej szkoły ma dziesięć kilometrów, to jeśli nie zabierze ze sobą wody, nie dojdzie do celu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyśle swojego dziecka na pewną śmierć, prawda?

Kiedy piszę te słowa, zdaję sobie oczywiście sprawę ze skali problemu, jaki stwarzają opakowania z tworzyw sztucznych zalewające naszą planetę. Symbolem katastrofy ekologicznej są zdjęcia dryfującej po Pacyfiku największej wyspy, jaka powstała pomiędzy Kalifornią a Hawajami, utworzonej ze 100 milionów ton tworzyw sztucznych, metali lekkich i rozkładających się odpadów organicznych. Cząsteczki mikroplastiku, które krążą w przyrodzie i stają się częścią żywych organizmów, pozostaną z nami setki, a może tysiące lat. Obawiam się, że również jeszcze bardzo długo przyjdzie nam czekać na dzień, kiedy w niektórych rejonach świata plastikowa bańka, kanister czy plastikowa butelka, które mogą decydować o czymś być lub nie być, zostaną zastąpione równie praktycznymi, a zarazem przyjaznymi dla środowiska zamiennikami. Chciałbym też uwierzyć, że wspólnym wysiłkiem sprawimy, by zamiast karzącego wskazującego palca, który uchwyciłem na zdjęciu, na kolejnych pojawiają się przyjaźnie wyciągnięta dłoń, a na twarzach dzieci zamiast wyrazu strachu i przerażenia rysowały się uśmiech i wyraz zaufania.



Foto: Adam Korzeniowski

WIERSZE

Monika Miłoś

Ważne

Tak bardzo nie kochasz
 Jakby mróz
 Tak bardzo nie pragniesz
 Jakby lód
 A ja nago stoję
 Ubrana tylko w miłoś
 I nieważne że nago
 I nieważne że mróz
 I nieważne że lód
 Ważne
 Że w miłoś

Tamta dziewczyna

Kiedy gubiła uśmiec
 Skrzydła pality tak bardzo
 Że nawet trzepot ucichł strapiony
 Na pogorzelsku snów
 Ostatnie muśnienie
 Ociera się o ciemność
 Tamta dziewczyna
 Odwraca wczorajsze spojrzenie
 Dziś już taka niedzisiejsza
 Nietutejsza
 Minęły się w drzwiach
 (Z przeznaczeniem)
 Tamta pewnie już nie wróci
 Odeszła
 Zabrała uśmiec
 Poskładała skrzydła
 Zostawi je na wczoraj
 A może na jakieś nigdy
 Nigdy nadejdzie najprędzej

Tabula rasa porcelana

Ta(ból)a(rasa)
 Porce(lana)
 Porce(lana) roz(trzaskana)
 Ja
 Ta(ból)a(rasa)
 Porcela(nowa)
 Ty
 Por(cela)(nowa)
 Skle(ja)m
 Od(nowa)
 Ja
 Tabula rasa porcelanowa

out)let's love

Bo przecież zdarzają się i takie
 Bez instrukcji
 Zrozumienia
 Skomplikowane
 I te
 Brzydko mówiąc
 Wy(brak)owane
 Lalki o krzywym uśmiechu
 I oczach zalanych łzami
 (Po)targane
 Przez los
 Niewiadome
 Nieświadome
 Nieważne
 One czują najwięcej
 Takie kochajmy najbardziej

Zbigniew Witostawski

Vilanella o niebiańskim młynem

Gdybyś mógł, dobry Boże, chociaż na godzinę
rzucił pilne zajęcia, których nie brak w niebie,
i porozmawiał ze mną tak jak ojciec z synem.

Tylko co stanie się z niebiańskim młynem,
czy tam na górze sobie poradzą bez Ciebie,
jeśli zejdiesz tu do mnie na całą godzinę?

Być może wtedy na mnie zwałą całą winę,
że gdy oni, na górze tam, byli w potrzebie,
Ty ze mną rozmawiałeś tak jak ojciec z synem.

Ty jednak mi odpuszczisz, bo Ty znasz przyczynę,
rozumiesz, że tak proszę nie tylko dla siebie,
żebyś zszedł tu na ziemię chociaż na godzinę.

Odpocznij od niebieskich spraw przez jedną chwilę,
raz na wieczność zapomnij o anielskim śpiewie
i porozmawiaj ze mną tak jak ojciec z synem.

Widzisz, trzeba poprawić złą świata maszynę.
Jak to zrobić – chcę spytać. Tu nikt tego nie wie.
Może by wystarczyło, gdybyś przez godzinę
porozmawiał z człowiekiem tak jak ojciec z synem?



Relikwiarz, 1998 r.



Okruchy pamięci, 1994 r.

Vilanella o rynku twarzy

Zmiana twarzy mi się marzy,
bo zużytą mam tę twarz,
jest mi z nią już nie do twarzy,

moja twarz się źle kojarzy,
nazbyt długi twarz staż.
Zmiana twarzy mi się marzy,

a wynika to z sondaży,
stępki dna sięgają aż,
bardzo mi z tym nie do twarzy.

W nową twarz się wyposażyć
chyba już najwyższy czas.
Zmiana twarzy mi się marzy,

tę przeznaczę do sprzedaży,
może zysk przyniesie raz,
z zyskiem będzie mi do twarzy.

Popyt większy od podaży,
ważniejsi po dwie chcą brać,
wiele twarzy im się marzy,
z jedną jest im nie do twarzy.

ZIELONY WYGRYWA

Andrzej Matuszewski

21 marca w zabytkowej części gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim odbył się konkurs poetycki zatytułowany „Wiosenne wierszobranie”.

Konkurs został poprowadzony przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk i dyrektora gorzowskiej Książnicy Sławomira Szenwalda.

Uczestnicy, zainspirowani trzema motywami twórczości takich lokalnych poetów, jak: Stanisława Plewińska, Maria Przybylak i Kazimierz Furman, zaprezentowali swoje wiersze, które opiewały budzącą się w naturze wiosnę. Przedstawione utwory barwnie obrazowały nadejście tej pory roku, przesyconej kolorami, zapachami, ale także światłem oraz zanurzonej niekiedy w murach naszego miasta i oddychającej wraz z nim.

W spotkaniu uczestniczył także Mariusz Smoliński, który swoją grą na pianinie umilił zebranym chwile kontaktu z poezją.

Gorzowscy literaci sami ocenili swoją twórczość w tajnym głosowaniu i uhonorowali następujące osoby:

Miejsce I – Aneta Gizińska-Hwozdyk

Miejsce II – Szymon Wojtczak

Miejsce III – Hanna Bilińska-Stecyszyn

Konkurs odbył się w kameralnej i bardzo sympatycznej atmosferze, a każdy z gości został obdarowany skromnym upominkiem.



Foto: Andrzej Katuski

ANETA GZIŃSKA-HWOZDYK

Rozsiej po ludziach uśmiech majowy (Stanisława Plewińska)

Rozsiej po ludziach uśmiech majowy,
niechaj wzrastają w radości.
Niechaj zielone przypomną lata
tamtej, co kiedyś, młodości.

Zielono w głowie, zielono w życiu,
maj się umait do granic.

Aż po horyzont, gdzie spojrzeć – wiosna!
Zdrowy rozsądek ma za nic.

Na skrzydłach maja wlatuje ziarno –
plon wiosna wyda obfity:
radości, wiary i optymizmu,
z każdej błahostki – zachwyty.

Gdy troski swoje rozpoczną żale,
niechaj je zgłuszy śpiew ptaków.
A kiedy czarne myśli nadptyna,
niech stąmsi je czerwień maków.

Chabrowe chabry niech wpadną w oko
i rozpromienią spojrzenie,
a żółte główki małych kaczeńców
stońca niech spełnią pragnienia.

By wszyscy ludzie się uśmiechali
do siebie, świata, do życia.
By z wiosną wrócił zachwyty nad wszystkim
i radość niech wyjdzie z ukrycia!

Rozpędziły się w zakwicie (Maria Przybylak)

Rozpędziły się w zakwicie
wszystkie w mieście drzewa...
Tutaj szpak wpadnie w listowie,
tam słowik zaśpiewa.
Pąk gdzieś pięknie dla zabawy
i przegoni wrony.
Wrzeszcząc, wleczą ponad drzewa
w nieba nieskończoność.
Zieleń barw na drzew sukienki
stońce drzewom daje:

w kwietniu – jeszcze delikatne,
intensywne – majem.
Dłonie liściom rozwijają
kropel deszczu razy.
I już drzewa mają w garści
miejskie krajobrazy...

Miasto ubrało się w zieloną suknię (...)

Szło w zielony spacer z wiosną pod rękę (Kazimierz Furman)

Miasto ubrało się w zieloną suknię (...)
Szło w zielony spacer z wiosną pod rękę
Wiosną miastu odbija palma.

Zieleń wdziera się na siedem wzgórz
i swoim tchnieniem zazielenia przestrzeń.

Kosy śpiewają niekosie peany
i chwalą wolną miłość pod ostoną parku.

Warta wartko przepływa jak młoda,
a w tętnicach koryta
hektolitry wody przetaczają wspomnienia
o przedwiosennych ponadstanach,
które właśnie dobiegają końca.

Nasiona zewsząd atakują
i wplątane w każdą istotę
idą na owocny spacer
z nadzieją na rozsianie.

Mickiewicz z duszą romantyka
przymyka oko
na szaleństwo natury,
bo patrzy sercem.

Pan Gorzów uparcie wierzy,
że wiosną zaludnią się statystyki
i dobiją do dwustu tysięcy.

Gorzów tuli się więc do Wiosny.

POEZJA W RUCHU

Green Simon

1.

, W ciSzy uMYstuuuu ,
 odRODZENIE SIę wIJE .
 JAK pROMień stońCA w mRoKach DNia }
 JAK sEn , cOooo BUDzi z ZapomnieniA }
 W serCUuuuu dUszy , ,
 \ / NoWą NADzieJĄ bIJE.

2.

w NIEskOńcZonym <> TAńCU CZasu ,
 STArY ZeGAR Se chiLLujE :)
 rUCH wsKazówEk \ / , SZmer EPoki . . .

Nikt nie robi im grymASów
 na parkiecie estraduje
 >>> NOwa era , NIE baroki . .

3.

OdRADzA SIę CzłOwIEk
 w kOIE CybErPRzEstrzEni.

rODzi SIę nOwA SiTA . . .

\\ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ \ #23

mIęDzy
 wlrAml
 DAnyCh
 gDziE
 algorytmów
 ClemnA
 UkrYtA
 nASzA
 tAJEmnlcA

/
 (mASzYny w SErCU,
 (rOzPALA CyfrOwE (OGnlwO.
 {+++++++}

4.

w ukrytej dolinie,
 \ / odrodzenie kietkuje,

jak kwiat wśród skalistych zboczy
 ^jak spokój wieczorny, co duszę ukoi^

\ w sercu wędrowca otwiera się nowa droga /

6.

[WIRtuAlny e-DEN]
 |Sztuczna inteligencja odradza się w naszych
 |algorytmach. Z kodowania prawem
 |rządzącym
 |łączy się z siecią w cyber jasper taniec.
 |Zaczęła się nowa era ludzkości gdzie
 |maszyny wskazują nam sens istnienia.

8.

W BIOcybErN3tyCznEj>
 <SYMBIOZIE
 =oDkRYwaMy ISTnieNIE=

Światłość nowej ery, przystania widok
 > gdzie maszyna z duszą łączy się w jeden.

| Transcendencja w sieciach neuronowych...
 |

W/
 W
 W złączach synaptycznych tonie jawa. (+/-)
 W plombie amalgamatowej, człowieka i
 technologii
 W
 W

10.

 -^-
 | Odrodzenie w cząstkach czasu tkwi
 nieubtaganie |
 (| W przeszłości terażniejszości i przyszłości
 zapchlonej |>
) | Obróć kołem gdzie życie się rodzi i
 znika, a |<
 | Odkryjesz sens istnienia, w wiecznym
 cyklu przemijania |
 -√-

Idiomatykon ikonograficzny

_	podłoga – krzyk
(otwarty nawias – wzmocnienie głosu
)	zamknięty nawias – osłabienie głosu
\	slash w dół – zniesienie postawy
/	slash do góry – podniesienie postawy
.	kropka – (delay) echo
,	przecinek – westchnięcie
∟	szklanka – rozbicie szklanki
<	lewo – krok w lewo
>	prawo – krok w prawo
}	zamknięta klamra – kichnięcie
:)	uśmiech – szeroki uśmiech
=	znak równości – przeczytanie na wszystkie głosy
	kreska pionowa – czytanie robotycznym głosem
*	gwiazdka – obrót baletowy
^	strzałka do góry – podskok
-^-	piramida – formacja piramidy (jedna osoba z tyłu, dwie po bokach kłęczą)
-√-	uwolnienie – rozproszenie wszystkich na scenie
(+/-)	bateria – złapanie się za głowę
#	hasztag – nie czytamy
+	plus – odgłosy ognia (szumy, syczenia, buchanie)
W/	wu slash – dynamiczne wyjście jednej osoby krzyczącej



Ślady zwykłych ludzi, 1996 r.

GOŚĆ

Bartek Orzeł

Wciśnięty w ślad wczorajszej pory dnia
mam w gardle głąz, w pokoju cisza trwa
sam anioł stróż wyśmiewa mnie
Kolejna tódź spocznie na dnie moich też

Bajeczny sen symbolem tamtych lat
Gdy błyszczał nam naszujnik z młodych lat
Za dużo chwil bo po co czas
Gdy cisza i nie ma komu grać

Chcę znaleźć świat, własny dom, gdzie osuszę kilka też
Chcę znaleźć stół, przy którym dźwięk
Znowu zabrzmi ciepłem świec
Chcę znaleźć świat, gdzie bliski ktoś dźwignie wagę moich win
Pokonam wstyd, odnajdę cel i sens kolejnych moich dni

Najlepiej spać, gdy przyjdzie nocy lek
Fantazji świat i losu inny bieg
Ze schodów dęb wyskrzypiał coś
Otwieram drzwi – to ty, mój nocny gość

I mam już świat, własny dom, gdzie osuszę kilka też
I mam swój stół, przy którym dźwięk znowu zabrzmi ciepłem świec
Mam już świat, gdzie bliski ktoś dźwignie wagę moich win
Pokonam wstyd, odnajdę cel i sens kolejnych moich dni



Metr 66, 2019 r.

WIERSZE

Edyta Plucińska

kiedy głaszczę dzień

poranek
nadstawia spięte fragmenty
pomiędzy krzyżem a topatkami
obarczonymi starością
upuszcza wiekowy kapelusz
o horyzont opierając szyję

poddaje się rozkoszy
wybijając minuty
o warstwę rozsypanych wzruszeń
i wyszczerbionych nadziei
rozluźnia zniecierpliwienie
emitując ciepło

w końcu
napina się w ekstazie
odliczając sekundy do wybuchu
odurzony nawałem zapachów
odwraca się na zachód
i poddaje gtaskaniu

nocy



Ślady zwykłych ludzi, 1996 r.

jak sobie pościesz tak będziesz rodził

akumulatory padały
a jeszcze tyle było do
spłodzenia

wtedy nie przyszło ci do głowy
że można nie wytrzymać
naporu argumentów

za błędzeniem we dwoje

ostatni spazm
pozwolił zwolnić tempo

teraz tylko
nieporadne próby łąpania oddechu
i skurcze niedowierzania

leżymy
rodząc w bólach
przeznaczenie

Ślady zwykłych ludzi, 1996 r.



Tomasz Walczak

gdy ciebie nie ma
pęcznieją tzy
nad ranem
potem już nic

nad ranem
bim-bom
ostatni dzwon

potem już nic
ci-sza

Frankfurt, 24.04.2024

Ślady zwykłych ludzi, 1996 r.



Niebieskie skarpetki
pogubiły swe pary
Żeby wyjść z szuflady
Dobrały się z kolorowymi
Każda inna wszystkie dobre

Już nikogo spotkanego
na ulicy nie dziwi
odmienność

tylko jeszcze czasami
problem stanowi
podanie ręki można
uśmiechnąć się zamiast

Drezdenko, marzec 2024

WSPOMNIENIE

Monika Kowalska

Zbigniew Sejwa

Artysta, menadżer kultury, fotoreporter, regionalista, pedagog, doktor sztuki.

Zbyszek posiadał rzadką cechę. Był zarówno sprawnym, kreatywnym animatorem kultury, jak i utalentowanym artystą, poruszającym się pomiędzy historią, osobistą i zbiorową pamięcią oraz nowymi technologiami, które zachwycały go i inspirowały.

Był rodowitym gorzowianinem, który związał swoje życie z tym miastem. Krótki zielonogórski epizod to czas studiów i pierwszej pracy w tamtejszym Wojewódzkim Domu Kultury. Początkowo chciał studiować historię sztuki we Wrocławiu, ale ponieważ na studia się nie dostał (a były to czasy, kiedy można było startować na jeden tylko kierunek raz w roku), wrócił do Gorzowa, żeby nic nie robić, uchylać się przed wojskiem i zastanawiać nad przyszłością. W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze otwarto wówczas nowy kierunek – pedagogikę pracy kulturalno-oświatowej (potem nazywany animacją kultury). Tym razem zdał egzamin i został studentem. Na pierwszym roku trzeba było wybrać fakultet dla instruktorów. Zbyszek, ponieważ zawsze interesował się muzyką, wybrał fakultet muzyczny. Niestety, był jedyną osobą, która dokonała takiego wyboru. Polecono mu więc, żeby wybrał sobie coś innego. Problem polegał na tym, że miejsca na innych interesujących go fakultetach, np. teatralnym, były już zajęte. Została fotografia, która niekoniecznie go pociągała, ale nie było innych możliwości. Jednak to ten przypadkowy wybór okazał się jego pasją, zawodem i sposobem na życie.

Już podczas studiów brał udział w pierwszych fotograficznych wystawach zbiorowych, chociaż w tamtym czasie interesowało go przede wszystkim pisanie, aktywnie działał w Klubie Dziennikarzy Studenckich, wspólnie z Czesławem Markiewiczem i Eugeniuszem Kurzawą założył „Klub Poetycki 54”, organizował też Festiwal Teatru Otwartego.

Chciał zostać w Zielonej Górze i zaraz po studiach (podczas których ożenił się i powitał na świecie pierwszego syna – Tymoteusza) podjął pracę w tamtejszym domu kultury.

Jak sam potem opowiadał, nie dorósł jeszcze do roli ojca i męża. Małżeństwo rozpadło się i zakończyło rozwodem. Trzeba było szukać innego miejsca na ziemi. Wrócił więc do Gorzowa. Jak myślał – tylko na chwilę.

Podjął pracę w Wojewódzkim Domu Kultury w Dziale Informacji i Wydawnictw, gdzie pisał tzw. wstępniaki. Zainteresowanie fotografią sprawiło jednak, że wpadł

na pomysł utworzenia w gorzowskim WDK-u Działu Fotografii i Filmu, którego następnie został kierownikiem. Podejmował wówczas różnego rodzaju działania na rzecz edukacji i upowszechniania fotografii i filmu, organizując plenery, warsztaty oraz wystawy fotograficzne na terenie ówczesnego województwa gorzowskiego.

Od 1979 roku aktywnie działał także w Gorzowskim Towarzystwie Fotograficznym, pełniąc również funkcję sekretarza. Wtedy też m.in. założył grupę fotograficzną „Trzech”, w skład której wchodził: Kazimierz Ligocki, Zdzisław Hajdasz oraz Zbigniew Sejwa, i która zorganizowała kilka wspólnych wystawień artystycznych.

W 1981 roku zaskoczył środowisko artystyczne pierwszą w Gorzowie akcją happeningową przeprowadzoną w przestrzeni miasta, polegającą na nalepianiu na chodniku fotografii z życia zwykłych ludzi, a następnie fotografowaniu reakcji przechodniów. Z tej dokumentacji na drugi dzień powstała kolejna wystawa, którą można było oglądać w witrynie klubu MPiK.

Wtedy wiedział już, że to fotografia będzie jego głównym narzędziem artystycznym. Dlatego też, kiedy tylko ogłoszono nabór do pierwszej w Polsce szkoły kształcącej na poziomie wyższym w dziedzinie fotografii, w Wyższym Studium Fotografii MKiS/ZPAF w Warszawie, pojechał na egzaminy. Dostał się do szkoły, na której wykładali najwięksi artyści sztuk wizualnych tamtego okresu, a studiowali (jak się później okazało) wybitni artyści kolejnego pokolenia.

Po ukończeniu studium i zdaniu egzaminu dyplomowego Zbigniew Sejwa został przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików, co było niezwykle ważne z formalnego, ale też artystycznego punktu widzenia.

Ponownie się ożenił i na dobre osiadł w Gorzowie. Na świat przyszli dwaj kolejni synowie: Mateusz i Michał. Przez wiele lat Zbigniew Sejwa był fotoreporterem regionalnych gazet („Tygodnik Gorzowski”, tygodnik „Ziemia Gorzowska”, „Gazeta Lubuska”) i autorem zdjęć do wydawnictw albumowych regionu.

W tym czasie realizował też swoje autorskie wystawy pokazujące zakres jego zainteresowań – pamięć miejsc i rzeczy. Wystawy „Okrucy pamięci”, „Relikwiarz”, „Ślady zwykłych ludzi” czy „Genius Loci” to realizacje łączące ze sobą fotografie i instalacje.



Zakaz fotografowania, 1986 r.

Metr 66, 2019 r.



Rozpada się jego drugie małżeństwo. Po jakimś czasie wiąże się z Moniką Kowalską, z którą jako duet stworzą wiele interesujących projektów artystycznych i animacyjnych.

W 2002 roku, kiedy powstaje w Gorzowie Miejski Ośrodek Sztuki, Zbigniew Sejwa wpada na pomysł otwarcia w nim Galerii Nowych Mediów, zostaje jej kuratorem i prowadzi ją przez kolejnych 5 lat. Nazwa galerii w zasadzie wyznaczała zakres jej zainteresowań. GNM była miejscem prezentowania sztuki najnowszej, artystów różnych dyscyplin, wykładów i spotkań autorskich, ale przede wszystkim sztuki idei-refleksji, a nie tylko dzieła-przedmiotu. Galeria Nowych Mediów była niezwykle ważnym elementem

upowszechniania sztuki w Gorzowie. To nowoczesne formy twórczości, do których odbiorcy na początku podchodzili z dystansem, często stykali się z nimi po raz pierwszy. Działalność GNM zmieniła rozumienie i odbiór sztuki w regionie i dzięki niej dziś takie prezentacje wydają się czymś naturalnym. Sukcesy Galerii szybko zostały dostrzeżone i odnotowane przez ważne media ogólnopolskie, m.in.: kwartalnik „EXIT”, miesięcznik „Arteon”, kwartalnik rzeźby „Orońsko”.

Poza działalnością kuratorską w GNM Zbigniew Sejwa zajmował się również realizowaniem innych projektów. Był pomysłodawcą i organizatorem cyklu OTOFOTO, realizowanego przez kilka lat dorocznego spotkania fotografów połączonego z oryginalnym wernisazem, na którym artyści kolejno sami odstawiali (zakryte do tego momentu) swoje fotografie i opowiadali o nich.

W 750. rocznicę założenia miasta zorganizował akcję „Rodzinna Fotografia Gorzowian” – wspólne zdjęcie mieszkańców na gorzowskim bulwarze, na którym pojawiło się około 6 tysięcy mieszkańców.

W tym czasie, wspólnie z Moniką Kowalską tworzą ciekawe filmy dokumentalne związane z Gorzowem. „Wspomnienia z miasta L.” to opowieści byłych mieszkańców niemieckiego Landsbergu, „Opowieści z miasta G.” – wspomnienia pionierów przybyłych do poniemieckiego Gorzowa, oraz „Czerwiak” – historia aktora gorzowskiego teatru Alika Maciejewskiego, który prawie do końca życia był bezpieczeństwa.

Rozwój zainteresowań o sztukę video i szeroko rozumiane sztuki wizualne doprowadził Zbigniewa Sejwę do podjęcia kolejnych studiów, tym razem na słynnej

„Filmówce” w Łodzi. Studia ukończył w pracowni prof. Józefa Robakowskiego, realizując pracę dyplomową w formie sztuki video.

W roku 2007 Zbigniew Sejwa przyjął kolejne wyzwanie. Został dyrektorem Klubu Myśli Twórczej Lamus, który pod jego kierownictwem zmienił swoje oblicze i stał się jedną z wiodących instytucji kultury w mieście. Jedną z najważniejszych inicjatyw było stworzenie nowego pisma kulturalno-artystycznego „Lamus” i nadanie mu ogólnopolskiego charakteru. „Lamus” można było kupić w sieci EMPIK w całym kraju. Zbierał doskonałe opinie i recenzje. Był półrocznikiem zajmującym się szeroko rozumianą kulturą: teorią i socjologią kultury, jej recepcją społeczną, filozofią, etyką, twórczością i prezentacją sztuki. Na stałe współpracowali z nim wybitni humaniści i artyści z całej Polski.

Było to jedyne pismo wydawane w województwie lubuskim, a ukazujące się w całym kraju, zajmujące się teorią i prezentacją sztuki i szeroko pojętą kulturą w popularno-naukowym aspekcie.

Zbigniew Sejwa był również pomysłodawcą i redaktorem innych wydawnictw regionalnych, m.in. książki Hanny Ciepeli „Zaraz wracam” opowiadającej o nieżyjących gorzowskich artystach czy „80 lat kamienicy” – historii zabytkowego budynku, w którym mieścił się klub – ważne miejsce dla gorzowskiej kultury. Ta niezwykle oryginalna książeczka podsumowywała obchody jubileuszu lamusowej kamienicy.

Jako dyrektor Klubu Zbigniew Sejwa stworzył też scenę poetycko-muzyczną skupiającą artystów różnych dziedzin, muzyków, aktorów. Efektem tych działań były klubowe programy autorskie, m.in., „Po co jest tak – piosenki Wandy Warszawskiej i Andrzeja Kurylewicz”, „Lamusowe zaduszki artystyczne”, czy „Nasza Klasa – wiersze ze szkolnej czytanki dla dorosłych”.

Oryginalnym pomysłem było zorganizowanie koncertu pt. „Projekt Furman” (skomponowanych przez młodą scenę muzyczną piosenek do wierszy Kazimierza Furmana) w wyjątkowej przestrzeni, na dziedzińcu Urzędu Miasta.

Kolejny koncert (z muzykami gorzowskiej Filharmonii) zorganizował w murach gorzowskiej Łaźni Miejskiej. O budynku napisał też swoją pracę doktorską, którą



Koncert Łazienki

Instalacja video, portret 2021 r.



obronił na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu w 2016 roku.

Zawsze marzył o swoim własnym miejscu upowszechniania kultury, niezależnym od kapryśnej władzy, urzędników i ich poglądów czy przekonań. I udało mu się takie miejsce stworzyć. Łazienki 6 Klub, bo o nim mowa, to prywatna inicjatywa Zbigniewa Sejwy i Moniki Kowalskiej. Bardzo szybko okazało się, że miejsce to przyciąga wielu gorzowian chcących uczestniczyć w artystycznych wydarzeniach. Koncerty, wystawy, spotkania odbywające się w gustownie urządzonej piwnicy na stałe wpisały się w kulturalny obraz miasta.

Całe życie był młodym duchem. Nie bał się nowych technologii, wręcz przeciwnie – interesował się nimi, wykorzystywał w swoich pracach artystycznych i w życiu codziennym.

Zbyszek był wizjonerem, zawsze cechowała go kreatywność i oryginalność oraz spojrzenie na kulturę daleko wychodzące poza miejsce, w którym żył i pracował. Podejmował się najczęściej zadań trudnych (niepopulistycznych, mało medialnych) należących do kultury wysokiej, czasami elitarnej, jednak bardzo ważnych dla rozwoju i kształtowania obrazu kultury nie tylko naszego regionu.



Foto: Ewa Malendowska

DLACZEGO NASZE MÓZGI NIE LUBIĄ CHODZIĆ DO SZKOŁY?

Katarzyna Maciantowicz

Temat szkolnictwa i edukacji to historia z dreszczem emocji w tle. Miłość przeplata się w niej z nienawiścią, każdy, kto do szkoły chodził, w historii tej był zatopiony przynajmniej po kostki. Dlaczego nasze mózgi nie lubią chodzić do szkoły? Z biologicznego punktu widzenia odpowiedź jest prosta – ponieważ mózgi lubią ruch. Pruski system im nie służy. Podczas wykładu w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta dr Marek Kaczmarzyk podkreślał ponadto, iż konflikty pokoleniowe są wpisane w rozwój gatunku od tysięcy lat i są czymś naturalnym. I tu ponownie z wytłumaczeniem przychodzi biologia i kształtowanie się dojrzałości. Jako ciekawostkę autor *Synaps społecznych* podał, że mózg człowieka osiąga dojrzałość około 50. roku życia. Przytaczał również wyniki badań, które mówią o istocie relacji. Tu przyszedł z przykładem depresji – jeśli ktoś jest genetycznie uwarunkowany do depresji, ale żyje w relacjach, na depresję zachoruje z mniejszym prawdopodobieństwem, niż ktoś inny, któremu genetyka sprzyja i nie jest uwarunkowany do zachorowania, ale z kolei żyje w samotności, w odosobnieniu, stroni od ludzi. Profesor UŚ we wstępie do *Szkoły neuronów* wyjaśnia:

Należy do gatunku o charakterze społecznym. Nasze możliwości tkwią przede wszystkim w sile naszych wzajemnych relacji. Odkrycia neuronauk potwierdzają to i prowadzą dalej do wniosku o zbiorowym charakterze modelu rzeczywistości, który tworzą dla nas nasze duże mózgi. Świetnie to ujął Vilayanur S. Ramachandran w jednym ze swoich wykładów. Praktycznie nie istnieje granica pomiędzy tym, co nazywam światem, a tym, co jest światem dla kogoś stojącego obok, chociaż oba te światy są produktem naszych, fizycznie przecież oddzielonych, mózgów. Poza znaczeniem naszych kompetencji, dla nas samych mają one także znaczenie widoczne wtedy, kiedy działamy, uzupełniając się wzajemnie. Dla jednostki ważna jest każda umiejętność, która pozwoli na rozwiązanie problemu, z perspektywy grupy jednak cenniejsze są te niepowtarzalne umiejętności, których nie ma nikt inny z jej członków.

Granice kompetencji każdego z nas nie są granicą naszych możliwości, przeciwnie – są dla nich punktem wyjścia, jeśli tylko potrafimy skorzystać z kompetencji innych ludzi, którzy znaleźli się w pobliżu. Owo „poblize” zresztą samo w sobie ulega ostatnio redefinicji za sprawą technologii. Możemy działać razem, będąc fizycznie na różnych kontynentach. To ogromna szansa, ale i duże wyzwanie dla przyszłych systemów edukacji¹.

Marek Kaczmarzyk w nawiązaniu do badań zauważył ponadto, iż nasze mózgi najskrajniej działają w ruchu. Tę zależność dostrzegali już filozofowie, którzy lubili dyskutować w trakcie spacerów. Wskazał również, że nasze mózgi rozwijały się, gdyż doskonaliłiśmy doświadczenia, oraz podkreślał, jak w dążeniu do celu ważna jest droga i „międzywidoki”. Do celu, owszem, szybciej docieramy metrem niż rowerem, ale czy jadąc metrem dostrzeżemy polną drogę i poczujemy zapach nagrzanego słońcem gleby? Przykład roweru i koła pojawił się również przy wątpleniu nastolatka twierdzącego, że nie ma żadnych zainteresowań. Profesor przyrównał takie zainteresowania, a nawet idąc głębiej – nasze mocne

¹ M. Kaczmarzyk, *Szkoła neuronów. O nastolatkach, kompromisach i wychowaniu*, Wyd. Dobra Literatura, Słupsk 2017.

strony, kompetencje, wartości, do szprychy koła rowerowego. Gdy koto kręci się, szprychy stają się niedostrzegalne. Wystarczy zatrzymać się, wówczas widać każdy element koła. Tak też jest z dostrzeganiem naszych mocnych stron, umiejętności, itd. Rozpędzeni życiem nie dostrzegamy, jacy jesteśmy. W momencie zatrzymania i przyjrzenia się sobie jesteśmy w stanie zauważyć szczegóły, które tak naprawdę są naszą siłą.

Dr Marek Kaczmarzyk, tłumacząc, jak funkcjonuje mózg, porządkuje nasze widzenie człowieka jako jednostki i jako grupy, podkreśla, jak silni jesteśmy jako grupa. Wskazuje dzięki temu, jak budować mosty pomiędzy ludźmi i dochodzić do porozumienia, zwłaszcza w kontekście pokoleniowym. Jedną z nastolatek na pytanie redaktor Hanny Kaup o refleksje ze spotkania, odpowiedziała:

Bardzo mi się podobało, uważam, że to było interesujące, bo dowiedziałam się o procesach zachodzących w moim mózgu, o których nie miałam pojęcia. Dało mi to też wiele odpowiedzi na pytania, nad którymi się zastanawiałam, dlaczego jest tak, a nie inaczej, tym bardziej gdy jestem w środowisku domowym. Dlaczego ja reaguję w określony sposób? Dlaczego moja mama reaguje w różny sposób? Uważam, że to było bardzo przydatne spotkanie.²

Z kolei pewna dorosła uczestniczka jednego z licznych webinarów autora *Unikatu* podzieliła się swoim zdaniem:

Sprawił Pan, że zamiast mówić i radzić, zaczęłam pytać moje dzieci np.: A jak to jest z Tobą? Jak to widzisz? Jaka ja mam być dla Was?

Dr Marek Kaczmarzyk podkreśla znaczenie bliskości, która ratuje w najtrudniejszych momentach. Zwłaszcza w tych, kiedy świat dorosłego człowieka i świat człowieka dorastającego spotykają się pod jednym dachem i chcą dojść do porozumienia.

Punktem wyjścia do spotkania w gorzowskiej Bibliotece Herberta stało się pytanie, dlaczego nasze mózgi nie lubią chodzić do szkoły. Być może w umysłach uczestników rozdziły się pomysły, jak zmieniać obecny system edukacji oraz pojawi się odwaga, by je prezentować? Rozważania naukowca wskazały jeszcze na jedno – na istotę obecności. Może to ona może stać się receptą na poprawę funkcjonowania nie tylko szkoły czy domu, ale w ogóle – społeczeństwa?

Dlaczego nasze mózgi nie lubią chodzić do szkoły? Wykład prof. UŚ Marka Kaczmarzyka, 27.02.2024 r., WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Dr Marek Kaczmarzyk to profesor Uniwersytetu Śląskiego – biolog, neurodydaktyk i memetyk, nauczyciel i wykładowca. Teoretyk edukacji i pisarz. Autor artykułów i książek z zakresu biologicznych kontekstów kształcenia. Najważniejsze z nich to *Strefa napięć. Historia naturalna konfliktu z nastolatkiem*, *Unikat. Biologia wyjątkowości* oraz *Szkoła memów*. Proponuje spojrzenie na edukację przez pryzmat najnowszych osiągnięć neurobiologii. Propagator dydaktyki ewolucyjnej – dziedziny zajmującej się praktycznym wykorzystaniem mechanizmów ewolucji (zarówno biologicznej, jak i kulturowej) w interpretacji procesów uczenia się i wychowania. Od kilkunastu lat prowadzi wykłady i szkolenia, w których udział wzięło kilkadziesiąt tysięcy osób. Jest przewodniczącym Komitetu Naukowego Ogólnopolskiego Sympozjum Naukowego Neurodydaktyki³.

² <https://www.egorzowska.pl/> (dostęp: 30.04.2024).

³ <https://www.strefarozwoju.filomata.pl> (dostęp: 30.04.2024).

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

Helka Cąkata

31 maja 1997

Leo nadal chory, ale do pracy podreptał. W domu tabletki, syropek, herbatka, ale do pracy iść musi i już. Juliusz trzy dni temu wyruszył z kolegą sprawdzić, czy morze nadal „w miejscu stoi, a wyznaczonych granic przekroczyć się boi”. Sprawdził, wrócił, odpoczywa.

- Znalazłam ci pracę za sto złotych – mówię. A on:
- Co trzeba robić?
- Pomalować pokój jednej babci.
- Duży?
- Taki jak ten twój.
- A co to za babcia?
- Ja.

– Przecież tu jest czysto. – Fakt. Tapeta ma chyba dopiero dziesięć lat. Nie, raczej dziewięć, to jeszcze niepełnoletnia, więc może jeszcze niekoniecznie? Zwłaszcza że wypisane są na niej różne sentencje, cytaty, złote myśli i inne cenne słowa, które w każdym momencie mogą się przydać i z których trudno zrezygnować, jak na przykład takie: „Człowiek rodzi się mądry, a potem idzie do szkoty”, „Człowiek potrafi przejść się po Księżycu, lecz nie nauczy się jak żyć na Ziemi i pozwolić innym na niej żyć” i jeszcze taka definicja: „Organizm jest „przyrządem” natury rejestrującym cechy życia”. Znam to. To definicja ks. prof. Włodzimierza Sedlaka. Samo życie ten zacny profesor tak wyjaśnia: „Dwa podukłady kwantowe – chemiczny i półprzewodnikowy, czyli elektroniczny – bombardują się wzajemnie, kwantowomechanicznie generując fotony”. Tymi świętymi słowami, tak popularnie i nienaukowo tłumaczy Włodzimierz Sedlak życie. A ja nic z tego nie rozumiem. Gdyby powiedział to naukowo, rozumiałabym tyle samo, czyli nic. Też sobie to zapisałam, tyle że nie na ścianie, w nadziei, że może kiedyś zmądrzeję na tyle, żeby to zrozumieć, chociaż muszę przyznać, osobiście w to nie wierzę. Sam Sedlak dziękuje Opatrzności za pozwolenie zajrzenia w kwantową kuźnię życia. A pokój pozostanie taki, jaki jest – „czysty”.

9 czerwca 1997

Cholerny ząb! Koniec. Idę zrobić z nim porządek. Najpierw do domu, a tu na moim miejscu przy stole zegarek! Nowy! Okazała cebula na całą szerokość mojego nadgarstka. Prezent od Leo. Imieninowy, co mogłam wyczytać z załączonej

karteczki. Imieniny miałam 10 lutego, nic nie rozumiem, ale czy muszę rozumieć? Prezent to prezent. A pod zegarkiem dopiero niespodziewajka! Sto pięćdziesiąt złotych polskich! Zegarek „miyoko prestige” to drobiazg, natychmiast porywam forszę i biegnę wydać na dentystę. W tej chwili nie boli, ale ja znam jego obyczaje – cały dzień się przyczaja, a wieczorem ja spać, a on zaczyna swoje. No więc idę. Zachodzę do mojej ulubionej pani Danuty (czy dentystka może być ulubiona?), a poczekalnia pusta. Zaskoczona pytam, dlaczego tak pusto, a ona, że prądu nie było, więc wszyscy poszli. Zadowolona rozsiadam się wygodnie i dopiero przychodzi mi do głowy, że zupełnie coś innego przegoniło pacjentów i ciary mnie przechodzą, czuję się jak przed plutonem egzekucyjnym. Za późno, nie ucieknę. A pani zagląda i orzeka, że w zębie są dwie plombi i zrobiły się dwa nowe ubytki. O! I jeszcze jeden pod dziąsłem, więc wiercenie, opatrunek i za tydzień. Żegnam i tylko przechodzę przez ulicę, a ten cholernik zaczyna. Ćmi, boli, boli jak cholera, rwie. Idę z tym bólem i przypomina mi się, że Stachura pisał w „Siekierzadzie”, jak szedł z bolącym zębem i rozwartą gębą, bo powiew powietrza chłodził i mniej bolało. Więc i ja otwieram gębę, ale nie pomaga, więc zamykam i cierpię. Mijam Katedrę, a tu na chodniku leżak. Leży sobie i śpi snem sprawiedliwego, a kto śpi, nie grzeszy. Obok grzecznie na baczność stoją sobie białe (!) półbutki. Coś trzeba zrobić, ale co? Zaraz jednak mój niepokój ustępuje, bo oto podjeżdża radiowóz i wysiadają dwaj panowie mundurowi. Zostawiam całą tę grupę rodzajową i spokojnie podążam do domu. Ząb nie boli! Co za radość! Oglądam się z wdzięcznością. Dwaj panowie mundurowi naradzają się, co zrobić z leżakiem. Wreszcie wnoszą go do samochodu i odjeżdżają. Zapewne odwiozą go do najdroższego w mieście hotelu. Na mnie czeka dom, a w nim najukochańszy mężczyzna mojego życia.



Zakaz fotografowania, 1986 r.

KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

VARIA

25 stycznia makijażystka Marta Stefaniak przeprowadziła warsztaty „Sekrety makijażu”. To rozpoczęło serię spotkań Strefa Kobiet. Następne wydarzenie z tego cyklu odbyło się 19 kwietnia w Filii nr 2 i zostało poprowadzone przez podolog Mirellę Szyperską.

Oddział Zbiorów Audiowizualnych w styczniu zainicjował spotkania Bibliotecznego Klubu Filmowego. Przedsięwzięcie cieszy się zainteresowaniem, dyskusje odbywają się raz w miesiącu. Dotychczas omówiono następujące filmy: „Lot nad kukuczym gniazdem”, „Amadeusz”, „Czułe słówka”, „Pożegnanie z Afryką”.

16 lutego w Willi Hansa Lehmana miało miejsce spotkanie z reportażem radiowym pt. „Historia wielkiej miłości. Śladem egipskiej księżniczki z Janczewa” autorstwa Izabeli Patek, dziennikarki Radia Zachód. O bohaterce reportażu, czyli Marthe Frezet von Carnap Bornheim, opowiadali: sottys Janczewa Krystyna Podsiadło, radna Gminy Santok Magdalena Rzeczycka-Więckowska, Jerzy Dubiel, Jolanta Plust oraz Kazimierz Ligocki. Moderatorką spotkania była Izabela Patek.

W Filii nr 8 odbyła się seria spotkań literackich. Pierwsze z nich – zorganizowane z okazji 130. rocznicy urodzin Jarosława Iwaszkiewicza – odbyło się 23 lutego i zostało poprowadzone przez Janusza Dreczkę. 22 marca obchodzono 155. rocznicę urodzin Stanisława Wyspiańskiego. Moderatorką tego wydarzenia była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Następne spotkanie miało miejsce 19 kwietnia i dotyczyło 10. rocznicy śmierci Tadeusza Różewicza. To zebranie ponownie poprowadził Janusz Dreczka. Z kolei 10 maja o życiu i twórczości Bułata Okudżawy – w 100. rocznicę jego urodzin – opowiadała Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk.

27 lutego w sali audytorijnej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie prelekcję wygłosił Marek Kaczmarzyk – neurodydaktyk, memetyk, doktor w zakresie nauk biologicznych i profesor Uniwersytetu Śląskiego. Wykład nosił tytuł „Dlaczego nasze mózgi nie lubią chodzić do szkoły?”. Spotkanie współorganizowano z Fundacją Today Tomorrow Together oraz Wojewódzkim Ośrodkiem Metodycznym. Książki podpisane przez profesora są dostępne w Wypożyczalni Naukowej.

11 marca w gorzowskiej Książnicy miały miejsce warsztaty „Radzenie sobie ze stresem i własnymi emocjami” poprowadzone przez dr Justynę Bucknall-Hotyńską oraz Annę Bezdziecką. Zorganizowanie warsztatów motywowane było potrzebami czytelników, których zainteresowanie publikacjami na temat stresu i emocji dynamicznie wzrasta.

20 marca w Oddziale Zbiorów Audiowizualnych gościem był Tomasz „Pan Winył” Olszewski, prezes wytwórni Polwinył. W interesujący sposób opowiedział o historii produkcji i kolekcjonowaniu płyt winylowych.

21 marca w Willi Hansa Lehmana odbył się konkurs poetycki „Wiosenne wierszobranie”. Prowadzącymi wydarzenie byli Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz dyrektor Biblioteki Sławomir Szenwald. Uczestnicy zaprezentowali swoje wiersze inspirowane twórczością

lokalnych poetów. I miejsce zajęła Aneta Gizińska-Hwozdyk, II miejsce – Szymon Wojtczak, a III miejsce zdobyła Hanna Bilińska-Stecyszyn. O oprawę muzyczną zadbał pianista Mariusz Smoliński.



28 marca w sali nr 8 Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie Wielkopolskim promowano pierwszy w tym roku numer „Pegaza Lubuskiego” (1/96). Zawartość czasopisma omawiały Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz Beata Igielska. Drugą częścią wydarzenia było spotkanie autorskie Zygmunta Marka Piechockiego moderowane przez redaktor naczelną „PL”. Pisarz przedstawiał swoją najnowszą publikację pt. „Listy po czasie”.

8 maja, podczas wydarzenia z cyklu „Spotkanie z reportażem radiowym”, reportażyстка Radia Zachód Izabela Patek rozmawiała z Tomaszem Joczem – podróżnikiem, dziennikarzem i vlogerem. Gość biblioteki opowiadał o podróżach, podczas których był swoim własnym przewodnikiem oraz o tym, jak minimalizować koszty wycieczek.

WYSTAWY

2 lutego miał miejsce wernisaż wystawy malarskiej koła plastycznego Uniwersytetu Trzeciego Wieku z Gorzowa Wielkopolskiego pt. „Malarstwo z potrzeby serca i wyobraźni”. Składało się na nią 30 prac malarskich wykonanych na zajęciach plastycznych pod kierunkiem Eugeniusza Jaszkuła.



1 marca otwarto wystawę fotografii „Kobięcym okiem” autorstwa Moniki Kleist i Magdy Wojciechowskiej. Częścią wydarzenia był wykład na temat kobiecości oraz pewności siebie.

22 marca odbył się wernisaż wystawy „Czas i przestrzeń” podsumowującej warsztaty fotograficzne dzieci i młodzieży ze świetlicy „Jaskółka” przy Hospicjum św. Kamila w Gorzowie. Warsztaty poprowadzili: Antoni i Tomasz Hołyńscy.

W Ośrodku Integracji i Aktywności można było oglądać wystawę „Sztuka radością codzienności”. Autorami prac są mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej Nr 1 im. Marie Juchacz z Gorzowa Wielkopolskiego.

Filie miejskie również są przestrzeniami, w których artyści eksponują swoją twórczość. W Filii nr 6 prezentowano wystawę „Szałość kolorów” Małgorzaty Murowickiej-Kozickiej

i Bożeny Sumińskiej. W Filii nr 1 swoje malarstwo przedstawiła Teresa Tarczyńska, otwierając ekspozycję „Pomiędzy...”. Kolekcję fotografii Bożeny Wieczorek zatytułowaną „Kwiaty mojego ogrodu i nie tylko” ukazano w Filii nr 14.

SPOTKANIA AUTORSKIE

14 lutego w Filii nr 6 gościła Anna Wolf, gorzowska pisarka. Rozmowa dotyczyła jej twórczości oraz wątków romantycznych w literaturze.

18 marca w Książnicy Herberta o swoich doświadczeniach literackich opowiadał Łukasz Grass, autor książki „Najlepszy. Gdy słabość staje się siłą”.

21 marca gorzowian odwiedził ks. dr hab. Andrzej Draguła w celu przedstawienia swojej najnowszej publikacji „Kościół, który wyznaje. Między zgorszeniem a nadzieją”. Spotkanie poprowadziła s. Dalia Matusiak, a koordynował je ks. Barnaba Dębicki.

11 kwietnia w Filii nr 4 odbyło się spotkanie z Haliną Elżbietą Daszkiewicz – gorzowską pisarką, autorką książki „Matylda, czyli pora na życie”, z którą czytelnicy zapoznali się w ramach Dyskusyjnego Klubu Książki.

12 kwietnia w gorzowskiej Bibliotece miało miejsce spotkanie autorskie Konrada Wojtyły – poety, dziennikarza, doktora nauk humanistycznych. Moderatorką rozmowy była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Konwersacja toczyła się wokół nagrodzonego Literackim Wawrzynem Lubuskim tomu poezji „Scherzofrenia”.



NOWA MARCHIA

15 lutego, podczas spotkania z cyklu *Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie*, prelekcję wygłosił prof. Grzegorz Hryciuk. Historyk zajął się tematyką przesiedleń ludności z Kresów Wschodnich w latach 1944-1946. Mowa o tym również w jego najnowszej książce „Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków 1944-1946”.

22 marca gorzowska Książnica gościła Przemysława Oczyńskiego, historyka i regionalistę z Rzepina, który w ramach cyklu *Nowa Marchia...* przedstawił wykład na temat losów obiektów sakralnych z terenów gminy Rzepin po II wojnie światowej. Prelegent urozmaicił wypowiedź, ukazując liczną dokumentację aktową oraz ikonografię.

JERZY ALSKI: pisarz, felietonista, kompozytor, myśliciel. Członek ZLP. Miłośnik życia i uważny obserwator ludzkiej natury. Mieszka w Myśliborzu. Wydał kilka powieści, m.in.: *Za dużo miłości* (2011), *Prezent* (2012), *Mowa pogrzebowa* (2017), *Ekosystem* (2019), *Zachwyt* (2021), *Lot* (2021), *Kobiety i Grześ* (2022).

Alter ego uznanego lekarza Krzysztofa Ansilewskiego.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarzach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zastużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego kota teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i matych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzycanka na żyrandolu* (2023).

GREEN SIMON: gorzowski artysta hip-hopowy, model, aktor i organizator imprez, znany z pasji do koloru zielonego. Jego futurystyczna wszechstronność artystyczna zaskakuje i wzbogaca lokalną scenę kulturalną. Wspólnie z lokalnymi artystami tworzy grupę Landsberg Familia.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Książd katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpocząć od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwilę* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchođenje* (2022) Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowie. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktora naczelnej „Pegaza Lubuskiego”.

JANINA JURGOVIĄK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopiśmie i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.

ADAM KORZENIOWSKI: urodzony we Wrocławiu, od 1990 r. zamieszkuje w Gościmiu. Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu Wydz. Melioracji Wodnych oraz Uniwersytetu Wrocławskiego kierunku filozofia. Autor czterech tomików wierszy i kilku wystaw fotografii. W wolnych chwilach wędrowiec, podróżnik, a w zasadzie pielgrzym.

KATARZYNA MACIANTOWICZ: poetka, bibliotekarka, animatorka kultury. Zadebiutowała w 1998 r. na łamach „Filipinki”. Związana z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, uczestniczyła w warsztatach organizowanych przez RSTK. Jest autorką dwóch tomików poezji: *Międzybywanie* (1999) oraz *Skóra* (2003).

MONIKA MIŁOŚZ: mieszkanka maleńkiej wsi w gminie Dobiegniew. Jej wiersze ukazywały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej”, „Przmatu Literackiego”, „Czterech Zeszytów and after” oraz w dwóch antologiach poetyckich: *W rytmie poezji 2* i *Niosąc pomoc Olusiovi*.

Laureatka szczecińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr”. W 2023 roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy na ul. Brackiej w Krakowie w ramach projektu „Wiersze na murach”.

AGNIESZKA MOROZ: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka marszałka województwa lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczkaksiążek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

BARTEK ORZEŁ: mieszka w Przytocznej. Autor tekstów i kompozytor, ma na swoim koncie ponad sto piosenek. Podróżnik i obieżyświat, wielbiciel Gruzji. Instruktor harcerski, konferansjer oraz organizator imprez rozrywkowych i kulturalnych. Zadebiutował, mając 19 lat – jest współautorem antologii poezji miłosnej *Z wichru spłynęła moja miłość*.

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Propagator muzyki klasycznej. Laureat Nagrody im. Janusza Stowika (2007) i Motyla – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego (2012). W 1998 roku wydał pierwszy tomik wierszy *Zaistniałem*, a jego *Sytuacje* (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się *Listy hipotetyczne*.

Miłośnik i znawca muzyki klasycznej i fortepianowej. W 2012 roku odczytał i wydał *Drzwi otwarte na nicość* – częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia*, a w 2023 – *Listy po czasie*.

EDYTA PŁUCIŃSKA: gorzowianka, od ponad dwudziestu lat zawodowo zajmuje się uczeniem matematyki. Poezję zaczęła tworzyć już w szkole średniej. Pasjonuje się też fotografią, rysunkiem intuicyjnym i rozwojem duchowym. Zbiór jej tekstów w tym roku został nominowany w konkursie na debiut czasopisma „Pro Libris”.

OLGA SMOLEC-KMOCH: rocznik '85. Od dawna pracująca stowem, od niedawna właścicielka Wydawnictwa Na Szczęście, od zawsze mól książkowy próbujący swoich sił pisarskich w krótkich formach. Członkini Nieformalnej Grupy Literackiej Płockowe Dziewczęta, z którymi wydała cztery tomiki opowiadań. Mieszkanka Gorzowa, szczerze dostrzegająca jego głęboko ukryte piękno.

MARIUSZ SOBKOVIK: redaktor naczelny Gorzowskiego Magazynu Fantastycznego „LandsbergON” oraz czasopisma regionalnego „Młody Lubuszanin”. Laureat konkursów literackich, autor książki *Opowieści z czasów zarazy*, która była nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2023 roku wspólnie z żoną Aleksandrą napisał przewodnik po regionie *Niesamowite Lubuskie: notatki z podróży*. Prezes Stowarzyszenia NOVUM, zakochany w Gorzowie i jego historii.

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka i polonistka. Urodziła się w Trzcińsku-Zdroju, od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w *Pograniczach* oraz *Dyskursie*. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*. W 2023 roku ukazała się jej druga powieść *Eratosfera* i zbiór opowiadań *Pomiędzy*, które były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2023.

TOMASZ WALCZAK: poeta, pedagog teatru, dziennikarz obywatelski, animator kultury. Absolwent Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Przez kilkanaście lat zawodowo związany z Teatrem im. Aleksandra Sewruka w Elblągu, gdzie był kierownikiem Ośrodka Kultury Teatralnej, rzecznikiem prasowym, także aktorem. Jako poeta debiutował w antologii *I znów będziemy poetami* (Gorzów 1993). Jego wiersze publikowane były w wielu czasopiśmie literackich. Otrzymał odznaczenie od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Zastużony dla kultury polskiej, oraz Nagrodę Prezydenta Elbląga – Kreator Kultury. Jest laureatem kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Powołał do życia Drezdenecką Scenę Literacką oraz Festiwal Literacki Słowa na Puszcy. Zainicjował działalność Grupy Literacko-Artystycznej Lubdrzeń. Wydał tomiki poezji: *Blizny* (2006), *Drzazgi w myśli* (2010) i *Fantasmagorie* (2014).

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie siebie – odkrywanie siebie, czyli banały i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.



Spis treści

OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: ODRODZENIE	1
WIERSZ NA OTWARCIE	
Jerzy Alski: ODPOWIEDŹ NA PEWNE PYTANIE	2
TEMAT NUMERU: ODRODZENIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: JAKIŚ TAM DZIEŃ...	4
POEZJA	
Joanna Ziemińska-Kurek	8
Z. Marek Piechocki: PRETEKSTY II	10
Katarzyna Maciantowicz	18
OPOWIADANIE	
Mariusz Sobkowiak: ZŁOŚĆ (BÓG MORDU)	19
POEZJA	
Aneta Długotęcka	27
Beata Igielska: TRYPTYK FOTOGRAFICZNY	28
OPOWIADANIE	
Danuta Szulczyńska-Miłosz: CELA	29
POEZJA	
Jerzy Hajduga	33
Janina Jurgowiak	34
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Olga Smolec-Kmoch: SMACZLIWKI	35
PROZA POETYCKA	
Jerzy Alski: OGROMNA PIĘKA, BARDZO KOLOROWA	37
FELIETON	
Łucja Fice: ODRODZENIE?	39
OPOWIEŚĆ	
Adam Korzeniowski: HISTORIA JEDNEGO ZDJĘCIA	41
Poezja	
Monika Miłosz	45
Zbigniew Witostawski	46
WIOSENNE WIERSZOBRAJANIE	
Andrzej Matuszewski: ZIELONY WYGRYWA	47
ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK	48
MŁODZI PISZĄ	
Green Simon: POEZJA W RUCHU	49
STREFA PIOSENKI	
Bartek Orzeł: GOŚĆ	51
DEBIUT	
Edyta Plucińska	52
POEZJA	
Tomasz Walczak	53
WSPOMNIENIE	
Monika Kowalska: WSPOMNIENIE	54
PO SPOTKANIU U HERBERTA	
Katarzyna Maciantowicz: DLACZEGO NASZE MÓZGI NIE LUBIĄ CHODZIĆ DO SZKOŁY?	59
KARTKA Z PAMIĘTNIKĄ	
Helka Cąkata: KARTKA Z PAMIĘTNIKĄ	61
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	63
BIOGRAMY	66



PADOK PEGAZA 2024

warsztaty literackie ZLP
z Beatą Igielską

19 WRZEŚNIA 2024

17:00

WIMBP W GORZOWIE
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8

Piszesz? Chcesz popracować nad
swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Przygotuj teksty (także na
pendrive)

i otwartą głowę. Przyjdź na
spotkanie, które poprowadzi
uznana poetka i edukatorka
Beata Igielska.

Podczas warsztatów będziemy
czytać przygotowane przez
uczestników teksty
i wspólnie poddawać je analizie.

Zapraszamy!



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim
ogłasza



**OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. JANA GROSSA
EDYCJA IV - 2024 r.**

**Termin składania prac
do 31 sierpnia 2024 r.**

Regulamin Konkursu na stronie
www.wimbp.gorzow.pl